Nr. 43 (1450). Warszawa, 24 Października 1908 r. **Rok XXVIII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE

Zachwiana równowaga.

„Ktokolwiek ma, — danym mu będzie, ale kto nic [illegible] będzie odjętym".

Henryk Heine w znakomitym swym szkicu „Dobosz Legrand" wspomina, iż za jego lat dziecinnych nauka gieografji była bardzo trudna, a winien był temu Napoleon. Granice państw europejskich z roku na rok się zmieniały, stare kraje otrzymywały nowe nazwy, jedni książęta przybierali nowe mundury, inni wprost brali dymisję i musieli w inny sposób zarabiać na życie. Widocznie taki zamęt w podręcznikach gieograficznych zjawia się perjodycznie mniej więcej w stuletnich okresach, co nie przeszkadza, że, i w czasie przegradzającym te przewroty, istnieje konieczność poprawiania lub uzupełniania dawnych wydań.

Żyjemy właśnie w chwili walnych gieograficznych przeróbek. Już od kilku miesięcy wszyscy ambasadorowie, ministrowie spraw zagranicznych, ba! nawet koronowane głowy nieustannie podróżują z końca w koniec Europy, a przez ten przyspieszony ruch usiłują utrzymać coraz groźniej zachwianą równowagę europejską. Tymczasem wszystko nadaremno. Zanim odbędą względnie nieznaczną drogę z Madrytu do Londynu, lub z Chrystjanji do Pesztu— już dochodzi ich wieść o nagłym drgnięciu szali w Konstantynopolu, Marokku, Serajewie lub Sofji i nie rozpakowawszy kuferków muszą wyruszać w nowe podróże dla przesnucia nowych, wciąż rwących się nitek porozumienia.

Obecnie najruchliwszym czółenkiem tkackim, snującym wątek porozumienia jest p. minister Izwolski, z tego jednak bynajmniej nie wynika, aby deseń na tkaninie miał wypaść wedle jego pomysłu, gdyż ani pan Grey, ani p. Aerenthal, Tittoni, Pichon i inni nie przestaną krępować jego samodzielności. Co gorsza — nitka wciąż się rwie i plącze. Zamierzona konferencja europejska, która — jak słusznie stwierdzono i jak stale bywa z każdym kongresem—rejestrować będzie tylko fakty dokonane, nie nastąpi bardzo prędko. Zwołanie jej projektują na miesiąc styczeń, co jest chwalebną przezornością, gdyż niewątpliwie do tej pory przybędzie jeszcze dużo faktów dokonanych. O to postara się zawczasu każdy z uczestników konferencji — a niemniej i te czynniki, które do niej dopuszczone nie będą, a które niespodziankami umieją zawsze dyplomatów w kłopot wprawiać, to jest nie rządy, lecz ludy europejskie.

Gdyby nie to, o porozumienie między rządami byłoby względnie łatwiej, w myśl zasady, kto wiele ma, temu jeszcze będzie dodano. Silni gotowi są zawsze robić sobie wzajemne ustępstwa, szukając kompensaty na koszt słabych. Kto się wykaże z posiadania dużej armji lądowej i odpowiedniej do niej ilości pancerników, temu naturalnie, za każdą przypadkową czy nieuniknioną stratę, należy się poważne odszkodowanie. Kto zaś ma całego majątku jakieś marne 40,000 wojska jak Serbja, lub po uzbrojeniu całej męskiej ludności — najwyżej 60,000 jak Czarnogóra, ten ani do konferencji dopuszczony nie będzie, ani na uwzględnienie swych interesów liczyć nie może. Takiemu nie pozostaje nic innego jak rozpaczliwe i bohaterskie hasło księcia Nikity: „Austrja jest wielka i silna, Czarnogóra mała. Wszystko jednak stracimy, tylko nie możemy stracić honoru". Jakie hasła padają w anektowanej Bośni, trudno wiedzieć, bo tam, jak pisze korespondent *Rusk. Słowa* „O tym nie wolno pisać, nie wolno mówić, nie wolno nawet myśleć — postępować trzeba tak, jak nakażą władze".

Jedyny dziennik *Serbska Recz* wyszedł cały prawie z niezadrukowanymi kolumnami; w wilią wydania manifestu aneksyjnego aresztowano wszystkich wybitnych ludzi, o ile ich nie zaaresztowano dwa miesiące temu, w Hercegowinie ogłoszono stan wojenny, sądy polowe są czynne, zamknięto oba dzienniki, wychodzące w Mostarze — słowem, Austrja, która rzekomo anektowała te kraje, by pozyskać prawo obdarzenia ich konstytucją, rozpoczyna erę konstytucyjną w sposób wielce charakterystyczny. Czy młodo-turecka konstytucja rozszerzona na Bośnię i Hercegowinę wyglądałaby inaczej, nie śmiem przesądzać, zależy to od stosunku sił a ten może względem Turcyi przedstawiałby się dla Bośni i Hercegowiny cokolwiek korzystniej.

Wszystko to jednak tym się kompensuje, że cesarz austryjacki jest słowiańskim monarchą, a sułtan turecki nim nie jest. Dlaczego? na jakiej zasadzie? Nie wiem. Gdy jednak w czasie pamiętnych dni praskich wnoszono przy bankiecie toasty na cześć słowiańskich monarchów, rozpoczęto je od cesarza Franciszka Józefa,—a pominięto — przypadkiem, czy tendencyjnie—Abdul Ha-

mida. Już wtedy została przesądzoną sprawa, że w razie konfliktu o jakiś kraj słowiański Austrja, pomna wiedeńskiej odsieczy i zasług Sobieskiego, odwdzięczy się Słowianom, broniąc ich przed półksiężycem. Mniejsza o to, że kilka tygodni wcześniej odbył się w Burgu zjazd książąt niemieckich dla uczczenia w dostojnym jubilacie najstarszego niemieckiego monarchy. To była inna uroczystość, inny nastrój, inny mundur galowy.

I oto tak głośno reklamowany, tak złośliwie bagatelizowany neoslawizm zrodzony w złotej Pradze zaczyna teraz rozrastać się w następstwach, a przy tym wzroście wszystkie drobne, nieznaczne wtedy rysy i szczeliny w jedności słowiańskiej pogłębiają się i tworzą przepaście.

Dwa prądy ścierały się w Pradze: rasowo lojalistyczny — bez narodowych zastrzeżeń, i demokratyczno-wolnościowy — bez rasowych zastrzeżeń. Ten drugi, reprezentowany bardzo nielicznie, miał jednak tę siłę oporu, która narzuciła reakcyjnemu slawizmowi niechętnie wykrztuszoną formułę: równość, wolność, narodowa odrębność i samoistność wszystkich narodów słowiańskich. Bułgarzy wysnuli z tej formuły niezawisłość Bułgarji, Serbowie ideję wielko-serbską, łączność Serbji z Czarnogórą, — Chorwaci może uniezależnienie się od Węgier i unję realną z Austrją. Polscy członkowie Koła polskiego a z nimi p. Kramarz — Słowianie lojalni bez zastrzeżeń — z własnych enuncjacji wysnuli aplauz dla aneksji Bośni i Hercegowiny przez cesarza, przy którym oddawna stoją i stać chcą, nie bacząc, gdzie on stoi, do czego zmierza, wreszcie kto stoi za nim — Wilhelm II, czy Edward VII.

Demokracja słowiańska sięga swymi sympatjami poza granice rasowe. Dla niej nie mogą być obojętne losy Młodej Turcji tak smutnie analogiczne do losów Polski w epoce konstytucji trzeciego maja; ona nie może bez względu na ukryte sprężyny tego faktu potępiać kroku Bułgarji, zdobywającej niezawisłość, a znowuż bez względu na pozorną jej beznadziejność nie może się oprzeć uznaniu dla bohatersko rozpaczliwej walki, w którą się rzucają Serbja i Czarnogóra. Wszystko w myśl zasady, że każdy naród powinien sam stanowić o sobie.

Tylko dla europejskiego kongresu zapalać się nie może, wie bowiem, że ta zasada będzie tam nieobecną. Wielkie mocarstwa nożem swej lądowej i morskiej siły zbrojnej spróbują Europę i Azję rozkrajać między siebie jak placek, czyniąc sobie wzajemne uprzejmości kosztem tych, którzy głosu nie mają. Jakkolwiek my — Polacy dawno już posłużyliśmy jako materjał dla takich wyrównywań interesów na rzecz równowagi europejskiej, nie jest wykluczonym, że i przez naszą skórę przejdą nowe cięcia. Wszakże praski neoslawizm rozczulał się nad niedolą uciskanych Rosjan w Galicji wschodniej, a przejazd przez Dardanelle dla floty rosyjskiej, której na razie prawie niema, jest objektem sam przez się zbyt małym, by opłacił koszta podróży p. Izwolskiego po wszystkich europejskich stolicach.

Demokracja słowiańska — i niesłowiańska — nie da się również złudzić pięknymi hasłami, pod którymi nowe zabory będą dokonane. Wiemy, że gdy wychowawcy biją dzieci, czynią to zawsze dla ich dobra, a gdy silny gniecie słabego, czyni to niezmiennie w imię cywilizacji, porządku i pokoju powszechnego. Wiemy, ile dobrodziejstw kultury zlały na nas współczesne Niemcy i jak nas pieką rany i blizny po tych dobrodziejstwach. „Nikt nie chce być do niczego zmuszonym, nawet do tego, aby był szczęśliwym" — powiedział stary Moltke w swej książce o Polsce. Nie możemy się też zachwycać misją Austrji, która zabrała się do uszczęśliwiania Bośni i Hercegowiny i nie w porę i nie we właściwy sposób, gdyż kraje te miały właśnie bliski i dobry przykład, jak można samoistnie do własnego zmierzać szczęścia. Nie będziemy również wygłaszali rozsądnych nauk pod adresem Serbji, Bośni, Czarnogóry— polecali im umiarkowanie, przestrzegając przed lekkomyślnymi kroki. Walcząc spokojem i umiarkowaniem, jako jedyną bronią, jagnięta ogromnie ułatwiają połów wilkom, a gdyby Serbja i Czarnogóra były zawsze spokojne, pierwsza z nich nie byłaby się wyzwoliła, a druga nie byłaby uniknęła tureckiego jarzma.

Zresztą, idzie im przecież o coś tak niepochwytnego i niewymiernego, jak o honor narodu. W tych kwestjach dyskutować nie można i to się nie da obliczyć normą żadnego odszkodowania.

Wielkości niewymierne grają jednak w polityce pewną rolę i czasem nawet zaważą na szali równowagi europejskiej. Taką wielkością niewymierną jest ideja wolności. Ona to dziś zbliża wczorajszych wrogów: Turków z Serbami, którzy deputację młodoturecką przyjmują owacyjnie; ona w Tebrysie rozprasza wojska szacha, a może zbliży Persję z Turcją; ona wysoką kulturę europejską naraża na ciągłe porażki ze strony żółtych, czarnych lub mieszanej barwy wrogów — i ona też zapewne na bliskim Wschodzie postara się o nowe niespodzianki, które obciążą porządek dzienny europejskiej konferencji.

Naród, jako zjawisko kulturalne i polityczne.

(Ciąg dalszy.)

Pojęcie narodu, jako zjawiska kultury psychicznej, powinno być odróżniane od pojęcia narodu, jako zjawiska politycznego.

Oczekiwanie.

Śnie mój, śnie,
mój cichy śnie!
Płyną bezdenne przeczekaniem dnie,
płyną otchłanne noce...
Serce sieroce,
gdzie twoja ustroń cicha?
Na chwiejnej stoisz opoce,
dłoń bezsilna cię spycha
w otchłań, ukrytą w pomroce.
Kolumny spowiły bluszcze,
mech siwy porósł kolumny.
Wodotrysk, wysrebrzony nocą, cicho pluszcze —
O serca dzikie, niedostępne puszcze,
o, stropie niebios, pod gwiazd roziskrzeniem
wiecznie pochmurny,
o nocy, gwarna milczeniem!

Śnie mój, śnie,
mój srebrny śnie!
O, jak tęsknota bezlitośnie gnie,
jak bezpowrotnie łamie...
Ku wiecznej bramie,
ku niedościgłej oddali
podnoszę te ramiona,
pluskiem kaskady narzekam,
ból mój gwiazdami się pali,
płacze nim nocka cicha, roziskrzona —
i czekam...

Śnie mój, śnie,
mój wielki śnie!
Oto się zgięło serce dumne, lwie,
oto przekwitły irysy...
Płomienne spisy
mych tęsknot wyleciały na wsze świata strony,
sokołom wspomnień popuściłem dłużce,
i dałem chciwym żeru
kęs mego serca skrwawiony,
i łakomym dzwoneczkom, liljowej ostróżce,
smętnym szelestom ajeru
zwierzam tęsknoty, jak wybranej drużce...
Mgieł rannych całun oblekam,
i czekam.

Śnie mój, śnie,
mój złoty śnie!
Złoty blask strzelił — i utonął w mgle,
O bezmienne męczarnie!
O wy, gasnące latarnie,
na pustej, bielejącej świtaniem ulicy,
o beznadziejna dopełnień rozpaczy,
świcie dnia tego, w którym nie zobaczy
duch obiecanej krainy,
świcie, nadziei kacie jasnolicy,
dzienny szafirze, o, tak trupio-siny,
jutrznie, powrotu dni jarzemnych gońce,
dniu, który kładziesz mi pieczęć boleści,
którego wejście „nigdy" mi obwieści,
zabójco-słońce!
Oto się waszych darów dziś wyrzekam,
i czekam.

Śnie mój, śnie,
umarły śnie!
Dal siniejąca nęci, nęci, zwie,
o, niedościgła ty dali!
Słońce nimb wdziało z korali,
słońce zachodzi, a ja weń źrenice
wlepiam rozpaczą oślepłe...
Oddale zimne, przeraźliwe, skrzepłe
wkrzyknąłem w was me tęknice,
a echo „nigdy" odbrzmiało,
a wszystko we mnie czekało
na roztęczone, na cudowne zjawy,
na czarodziejskie bardony...
Przestwór milczący, straszny, nieskończony
potwornem „nigdy" się roi,
„nigdy" w pierś vwiewa, jako akord łzawy,
nigdy nie będzie ostoi...
A za mną całe życie przeczekania,
a dal przede mną czernią się powleka,
a dusza czeka, wciąż czeka
w cichej męczarni konania...

W tym drugim znaczeniu naród przedstawia organizację spółżycia, spojoną wzajemnym ustosunkowaniem praw i obowiązków. W organizacji tej czynnikiem charakterystycznym jest pierwiastek obywatelski.

Narody polityczne mogą bądź ujmować w swym składzie wewnętrznym kilka narodów kulturalno-etnicznych, bądź zlewać się z zakresem narodu etnicznego, wyczerpując go w sobie, bądź wreszcie ujmować zaledwie pewną cząstkę kulturalno-etnicznej formacji narodowej. Przykłady budowy poszczególnych narodów politycznych dostarczają nam obficie wzorów rozmaitej formacji: polityczny naród francuski ujmuje część, wprawdzie znakomitą, etniczno-kulturalnej narodowości francuskiej, wyłączając jej skrawki, wchodzące do składu politycznej formacji Belgów i Szwajcarów, poza tym zaś wciela organicznie w swą budowę składniki etniczne niefrancuskie, jak Bretończyków, Basków, szczątki Gaskonów oraz pokrewnych Francuzom Prowansalczyków. Narody polityczne: Duńczycy i Holendrzy pochłaniają natomiast etniczną formację swych narodowości i wyczerpują ją w swym łonie (z pewnymi zastrzeżeniami w stosunku do kolonji pozaeuropejskich); narody polityczne Belgów lub Szwajcarów nie posiadają wcale odpowiednika etnicznego, tworząc swą formację z rozmaitych fragmentów etniczno-narodowych.

Nie można atoli utożsamiać pojęcia narodu politycznego z pojęciem istniejącego państwa. Państwo, jako wypadkowa wzajemnego stosunku sił pomiędzynarodowych w danej chwili dziejowej, nie zawsze odpowiada narodowi politycznemu, jako wypadkowej z założeń rozwoju poszczególnego narodu.

Wspólność losów dziejowych, cementująca narody polityczne, wytwarza wewnątrz danego narodu mechanizm współpracownictwa, organizację spółżycia zbiorowego. Im dłużej trwała ta wspólność, im więcej wysiłków włożono w organizację, tym mechanizm spółpracownictwa staje się doskonalszy w swym funkcjonowaniu i tym ściślej wiąże składniki w spoistą całość. Klasyczny wzór takiej spoistości narodowo-politycznej przedstawia polityczny naród francuski; dzieło Ludwików francuskich, stapiających ideję jedności narodowej w osobie króla, zostało znakomicie uwieńczone przez ich bezpośrednią spadkobierczynię — Wielką Rewolucję na podłożu jedności, przygotowanym przez królów. Wielka Rewolucja szeregiem potężnych wysiłków zbiorowych dokonała dzieła organizacji spółżycia obywatelskiego. Tępiąc obyczajowo-prawne rozbieżności dzielnicowe, skupiając i centralizując organizację państwowo-narodową, deklarując zasadnicze pierwiastki praw obywatelskich, Rewolucja po zdetronizowaniu króla przeniosła punkt ośrodkowy jedności z osoby monarchy do wszechwładzy („souverainetè") narodu. Niezależnie od dzieł Rewolucji, sam fakt udziału szerokich mas ludowych we wspólnym potężnym wysiłku organizacyjnym stał się znakomitym czynnikiem spoistości narodowej obywateli Francji. Wielka Rewolucja znakomicie udoskonaliła technicznie mechanizm spółpracownictwa obywatelskiego i w tym jej niespożyta zasługa narodowa dla Francji. Dziś poszczególne składniki etniczne politycznego narodu francuskiego, Bretończycy, Prowansalczycy, acz snują własną nić kultury etniczno-narodowej, nie ujawniają jednak separatyzmu politycznego. Stąd też Alzatczycy, oderwani mechanicznie od Francji, nie mogą się z łatwością pozbyć ciążenia do niej, pomimo swego bliższego pokrewieństwa etnicznego z ludnością państwa zaborczego.

Natomiast kraje, które nie przeszły przez szkołę spółpracownictwa dziejowego i złożone z rozmaitych pierwiastków etnicznych, nie tworzą narodu politycznego. Klasycznym wzorem jest tutaj monarchja Habsburgów, Austrja, tworząca zlepek różnonarodowy, pozbawiony charakteru narodu austryjackiego. Jako twór polityki dynastycznej, spółczesna Austrja powstała i rosła w imię rodziny Habsburgów, w której się mieściła jej *raison d'etre suprême*. Wprawdzie Austrja od pół wieku zaczęła niewątpliwie nabierać cech budowy organicznej i nie może być już dziś uważana za zlepek bez żadnego wyrazu, dający się dowolnie rozkawałkować, wszakże ta jej spółczesna ewolucja organiczna postępuje bynajmniej nie w kierunku formacji narodowo-austryjackiej. Z tworu dynastycznego za rządów Franciszka-Józefa zaczęła się Austrja przekształcać w nową formę organizacji spółżycia *międzynarodowego* poszczególnych narodów lub fragmentów narodowych. W tym charakterze trwałość politycznej budowy Austrji staje się coraz mocniejszą, a interes dynastyczny Habsburgów, nader umiejętnie reprezentowany w polityce sędziwego monarchy, nakazuje im zespolenie się z tym procesem dziejowym i oparcie na nowych kształtach budowy.

Jak są państwa, zamykające w swych ramach naród polityczny (Francja, Szwajcarja, Belgja), lub nieposiadające wcale tegoż (Austrja), tak są narody polityczne, wychodzące poza ramy państwowe. Do takich narodów należą oczywiście Polacy, tworzący trójzaborowy naród polityczny. Narodem *politycznym* są Polacy nietylko ze względu na żywe tradycje historyczno-państwowe, lecz też ze względu na nieustającą ciągłość spółczesnych wysiłków organizacyjno - politycznych, utrzymujących śród nich ciągłą spójność *obywatelską*. Trudniejszą i badziej zawiłą kombinację polityczno-narodową przedstawiają kraje nie posiadające jednolitości etnicznej mieszkańców i nie posiadające bytu państwowego lub autonomicznego a przecie nie wchodzące do składu jakiejś innej formacji narodowo-politycznej. Przykład takiego stanu przedstawia Litwa (etnograficzna) w swej formacji spółczesnej. W ciągu swych dziejów Litwa przez czas długi wchodziła do składu Rzeczypospolitej polsko-litewskiej, zrazu dwoistej, lecz postępującej konsekwentnie w kierunku unifikacji politycznej, dokonywającej się na korzyść Polski. Wskutek działania czynników, których tu rozważać nie będę (ciekawych odsyłam uprzejmie do mej książki p. t. „Litwa" — jak wyżej), wyższe stany litewskie oraz miasta zaczęły się wcielać do kultury polskiej i z nią stapiać etnicznie; litewska zaś kultura etniczno-narodowa przechowała się niemal wyłącznie w t. zw. kulturze ludowej, w szeregach ludu pańszczyźnianego. Unifikacja państwowa Litwy z Polską stapiała Litwinów z Polakami w naród polityczny polski. Atoli ta formacja polityczno - narodowa w kraju i w ustroju tak klasycznie szlacheckim, że sam charakter i nazwa obywatela utożsamiały się z „bene natus et possessionatus", nie sięgała wcale mas ludowych poza stanami uprzywilejowanymi. Ani potężne dzieło sejmu czteroletniego, cementujące jednolitość politycznego narodu polskiego, ani późniejszy udział Litwy w wysiłkach powstańczych polskich nie zdołały stopić ludowych, włościańskich rzesz litewskich z polityczną formacją narodowo-polską. Lud litewski pozostawał w odosobnieniu poza budową polityczną, poza pierwiastkiem obywatelskim. Demokratyczne prądy w wysiłkach powstańczych, gorące i szczerze radykalne, rozbijały się lub osłabiały w zetknięciu z twardą krystalizacją przeżytków kastowych oraz zazdrośnych apetytów posiadania. Ten niski poziom demokratyzacji w politycznym narodzie polskim usuwał niższe warstwy ludowe poza nawias politycznej formacji narodowej. Wszakże w Polsce etnograficznej późniejsze postępy demokratyzacji, w miarę swego ujawnienia się, wciągały coraz szersze i niższe warstwy ludowe do formacji politycznej; natomiast w Litwie sytuacja komplikowała się tym, że niższe warstwy ludowe, nie wcielone do polskiej formacji narodowo-politycznej, posiadały też odrębną osobowość kulturalno-etniczną. Osobowość ta osłabiona przed wiekami nagłym przesileniem, spowodowanym przez zaszczepienie chrześcijaństwa do podłoża, ściśle zespolonego z pogaństwem narodowym, dojrzała w powolnym procesie asymilacyjnym, godzącym wartości nabyte i napływowe ze rdzeniem kultury podłoża.

Michał Romer.

(d. n.)

Z POWODU PROJEKTU RZĄDOWEGO UBEZPIECZEŃ ROBOTNICZYCH OD NIESZCZĘŚLIWYCH WYPADKÓW.

Ministerjum przemysłu i handlu złożyło w Dumie projekt ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Projekt ten jest właściwie udoskonaleniem prawa z r. 1903, ustanawiającego zasadę odpowiedzialności pieniężnej przedsiębiorców za nieszczęśliwe wypadki, jakie wydarzają się robotnikom przy pracy. Zmiana polegać ma na tym, że prawo z r. 1903 nie ustanowiło przymusu ubezpieczania robotników; na zbankrutowanym przeto lub źle w interesach stojącym przedsiębiorcy poszkodowany robotnik nie może dziś dochodzić swych należności lub też z trudnością je wydostaje. Na skutek prawa z r. 1903 bardzo wielu przedsiębiorców ubezpieczyło wprawdzie swych robotników dobrowolnie w rozmaitych towarzystwach ubezpieczeń, pragnąc tym sposobem uwolnić się od ryzyka ewentualnego wypłacania odszkodowań; daleko jednak większą ilość przedsiębiorców, zwłaszcza drobnych lub źle w interesach stojących, nie ubezpieczyła robotników. W tych wypadkach robotnicy mają bardzo niewielką rękojmię, że w razie nieszczęśliwego wypadku szczupłe, przyznane im przez prawo odszkodowanie będzie im wypłacone; przedsiębiorcy zaś ubezpieczeni przestali interesować się niebezpieczeństwem zawodowym w swych przedsiębiorstwach, wiedzieli bowiem, że w razie nieszczęścia, koszty poniesie towarzystwo ubezpieczeń. Nie przedsiębrali przeto żadnych środków, przeciwdziałających nieszczęśliwym wypadkom lub też skąpili na wydatki w celu zapobiegania tym wypadkom; zresztą, nie przesądzając tej sprawy kategorycznie, nie byli niewątpliwie zainteresowani materjalnie w przedsiębraniu środków przeciwdziałających.

Tym ujemnym stronom prawa z r. 1903 zamierza zaradzić świeży projekt ministerjum przemysłu i handlu, wprowadzając przymus ubezpieczania robotników kosztem przedsiębiorców w specjalnie zorganizowanych, przez przedsiębiorców poszczególnych gałęzi wytwórczości, stowarzyszeniach wzajemnych ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Grupa przedsiębiorców każdej poszczególnej gałęzi wytwórczości będzie wielce zobowiązana do utworzenia stowarzyszenia i do ubezpieczania swych robotników. Stowarzyszenia takie dadzą istotnie robotnikom poważną rękojmię, że ewentualnie przypadające im należności będą wypłacane; stowarzyszenia takie przeciwdziałają z natury rzeczy i wszelkiej niedbałości poszczególnych przedsiębiorców w zakresie przeciwdziałania nieszczęśliwym wypadkom przy pracy. W tym względzie miarodajnymi są wzory niemieckie takich stowarzyszeń przedsiębiorców (Berufsgenossenschaften), na których zbudowany jest cały projekt rządowy. Stowarzyszenia niemieckie, będąc zainteresowane materjalnie w przeciwdziałaniu nieszczęśli-

wym wypadkom, są upoważnione przez prawo do wydawania postanowień obowiązujących poszczególnych przedsiębiorców, postanowień, dotyczących rozkładu maszyn, regulaminu pracy, obowiązkowego używania całego szeregu narzędzi, służących do zabezpieczenia pracownika przed nieszczęściem (np. rozmaite okulary bezpieczeństwa, siatki i t. p. dziś bardzo rozmaite i bezustannie mnożące się przyrządy). Regulaminy te są bezwarunkowo obowiązujące dla wszystkich bez wyjątku przedsiębiorstw ubezpieczonych w danym stowarzyszeniu; niezachowywanie zaś tych, czasami bardzo szczegółowych i silnie krępujących swobodę „gospodarzy w fabrykach" przepisów — jest surowo karane nietylko grzywnami, lecz nawet i więzieniem. Tym sposobem prawo niemieckie udzieliło ogółowi przedsiębiorców każdej poszczególnej dziedziny wytwórczości bardzo daleko sięgającej władzy, jak również i prawa do ścisłej kontroli, dotyczącej poszczególnych przedsiębiorstw. Oczywiście wypracowanie tych regulaminów jest rzeczą czasu; stowarzyszenia niemieckie datują od r. 1885; przez 23 lata przeto zdążyły opracować bardzo drobiazgowe nieraz przepisy, mocno krępujące wysławianą przez „liberalnych" fabrykantów swobodę wyzyskiwania pracy ludzkiej. To są dodatnie strony owych stowarzyszeń. Posiadają one jednak i wiele stron ujemnych, a do tych w pierwszym rzędzie zaliczyć należy zupełne wyłączenie ubezpieczonych robotników z zarządu tych stowarzyszeń. Wielce ujemną stronę prawa niemieckiego uznano za właściwe naśladować w projekcie prawa rosyjskiego. Praktyka niemiecka wykazała wprost oburzające przykłady tego usunięcia osób najbardziej zainteresowanych od decydowania o odszkodowaniu i jego wysokości; nie sposób tu wyliczać skarg wszystkich sekretarjatów robotniczych w Niemczech na ten barbarzyński przepis, powierzający sprawę decydowania o odszkodowaniu ofiar nieszczęśliwego wypadku stronie zainteresowanej w tym, ażeby tego odszkodowania nie było, lub ażeby było jak najmniejsze. W zarządzie bowiem stowarzyszeń niemieckich, a i w zarządzie projektowanych stowarzyszeń w państwie rosyjskim udział mają wyłącznie przedsiębiorcy i ich przedstawiciele; ta okoliczność wytwarza ciągłe spory, sprawy sądowe, a przedewszystkiem—brak zaufania ze strony ubezpieczonych robotników, doskonale czujących, że panowie przedsiębiorcy pragną płacić jak najmniejsze premja ubezpieczeniowe. Okoliczność, że w stowarzyszeniach ubezpieczeniowych niema robotników, daje w dodatku pole do szeregu nadużyć ze strony przedsiębiorców: posiadają oni gotową organizację wszystkich przedsiębiorców każdej poszczególnej gałęzi wytwórczości; organizacja ta jest odosobniona, słabo w Niemczech kontrolowana przez cesarski urząd ubezpieczeniowy (Reichsversicherungsamt), centralną instytucję dla Rzeszy niemieckiej w sprawach ubezpieczeń społecznych. Stowarzyszenia przeto ubezpieczeniowe — to gotowy kartel przedsiębiorców w razach nadzwyczajnych, to klub, dzięki któremu mogą się oni bezustannie porozumiewać co do szeregu zagadnień, dotyczących wytwórczości, a porozumienia te, wobec braku kontroli i wobec odosobnienia się kolegów po zawodzie, mogą być i nieraz bywają z wielką szkodą, dla pewnych gałęzi wytwórczości, uzależnionych od danej gałęzi, nie mówiąc o tym, że porozumienia te na złe wychodzą przedewszystkiem klasie robotniczej i to w sposób dla niej bardzo dotkliwy w razie zatargów pracy, strajków i t. d. Stowarzyszenia te—to sankcjowana i protegowana przez państwo organizacja przedsiębiorców, gdy tymczasem z natury rzeczy przeciwstawiająca się jej organizacja robotnicza, związki zawodowe bynajmniej przez rząd mile widziane nie są, przeciwnie — ledwie, że są tolerowane, a często bardzo ostro prześladowane, a to wszystko w Niemczech. W Rosji oczywiście sytuacja jest daleko bardziej odmienna w tym względzie i to z olbrzymią ujmą dla klasy robotniczej.

Co jest przyczyną tego krzywdzącego usunięcia robotników od zarządu w stowarzyszeniach ubezpieczeniowych? Najbardziej niedorzeczna, sprzeczna z duchem ubezpieczeń przymusowych zasada, że w zarządzie stowarzyszeń znajdować się winni ci, którzy opłacają ubezpieczenie; ponieważ koszt ubezpieczenia całkowicie polega na przedsiębiorcach, oni przeto jedynie mają prawo do udziału w zarządzie stowarzyszenia. Ale temu fałszywemu rozumowaniu przeciwstawić należy inne, a mianowicie: na jakiej zasadzie państwo zmusza przedsiębiorców do ponoszenia kosztu ubezpieczenia? Jeżeli nie stać na stanowisku, że przymus ten jest gwałtem, że jest zamachem na wolność i na własność prywatną, odpowiedź będzie jedyna: państwo uznaje zasadę, że praca winna zabezpieczać byt pracownika; pracujący robotnik ma prawo żądać rękojmi, że w razie nieszczęśliwego wypadku nie będzie pozbawiony chleba, że w razie niezdolności do pracy będzie on miał dach nad głową, że w razie choroby będzie miał zapewnioną kurację, że w razie śmierci rodzina jego będzie miała zapewniony byt, że w razie bezrobocia, przesilenia ekonomicznego nie umrze on z głodu i t. d. Jeśli stanąć na stanowisku tej zasady, wówczas odszkodowanie za nieszczęśliwy wypadek będzie niczym innym, jak należnością, przypadającą ofierze wypadku za jej pracę; praca zabezpieczyła mu byt; nienormalność, jakim jest nieszczęśliwy wypadek, nie może tego bytu zniszczyć. Odszkodowanie nie jest przeto łaską, świadczoną przez płacących przedsiębiorców; natomiast polisa ubezpieczeniowa jest to część płacy zarobkowej, jaką wypłaca przedsiębiorca robotnikowi. Jeśli stanąć na tym stanowisku, wówczas unaoczni się cała ohyda usunięcia przedstawicieli robotników od udziału w zarządzie projektowanych stowarzyszeń ubezpieczeniowych.

Pomijając wadliwości projektu rządowego, niewątpliwie jest on krokiem naprzód w dziedzinie najbardziej zacofanego prawodawstwa społecznego w Rosji; jeśli jednak zważymy, że w r. 1904 w grudniu wydany został manifest, zapowiadający rychłe wprowadzenie państwowych ubezpieczeń robotniczych od chorób, nieszczęśliwych wypadków, niedołęstwa, starości (a jednocześnie wdowieństwa i sieroctwa) i że od r. 1903 robotnicy są już jako tako ubezpieczeni przed skutkami nieszczęśliwych wypadków, że przeto nowy projekt zaprowadzi bardzo nieznane tylko zmiany do rękojmi bytu klasy robotniczej, jeśli zważymy wszystkie te okoliczności, wówczas dopiero unaocznić sobie będziemy w stanie, jak mało rząd robi w zakresie obiecanek, wydawanych w chwilach gorących poruszeń masowych, jak bardzo to, co się robi, jest uzależnione od mniejszej lub większej energji wśród niezadowolonych mas. Mimowoli nasuwa się tu zestawienie polityki społecznej Niemiec i Rosji.

Wspaniały gmach ubezpieczeń niemieckich powstał w latach 1883—1889, w ostatnim zaś dziesięcioleciu ub. wieku został znakomicie udoskonalony; myliłby się, ktoby sądził, że ubezpieczenia te są płodem pokojowej pracy i filantropji rządu niemieckiego; są one raczej dowodem jego przezorności i zabiegliwości: zapoczątkował ubezpieczenia w Niemczech manifest Wilhelma I w r. 1881, w którym zapowiada on szereg doniosłych reform społecznych „dla wytworzenia spokoju społecznego i miłości chrześcijańskiej". Istotnie, trzeba było myśleć o wytworzeniu spokoju społecznego, był on bowiem mocno w Niemczech zagrożony. W końcu ósmego dziesięciolecia ub. wieku, po kilku nieudanych zamachach na życie Wilhelma I i na skutek wzmagającego się niezadowolenia ludowego parlament uchwalił wniosek rządowy o prawach wyjątkowych przeciwko socjalistom. Zapanowała w Niemczech całych reakcja na całej linji, areszty, zesłania, procesy, zamykanie związków zawodowych i t. d. Oczywiście nie mogło się to przyczynić do wzbudzenia miłości mas ludowych do tronu i rządu; trzeba je było przeto ugłaskać i zaczęto je głaskać poważnymi reformami społecznymi. Reformy te nie stłumiły wprawdzie niezadowolenia; przeciwnie, rośnie ono bezustannie, czego dowodem wyniki wyborów do parlamentu: w chwili wydania praw wyjątkowych przeciw socjalistom otrzymali oni głosów kilkaset tysięcy, po zniesieniu zaś tych praw (gdy się przekonano o ich bezowocności), co jednak nastąpiło i po dokoniu reform społecznych, w r. 1893 głosów socjalistycznych oddano przeszło 1,400,000, w r. 1898—przeszło 2 miljony, w r. 1903 — przeszcie w r. 1907 — 3,250,000. Cyfry te dowodzą jednego: że lud nie zadawalnia się reformami, że żąda innych, daleko większych! Charakter jednak ruchu niemieckiego bardziej umiarkowany, aniżeli dawniej, dowodzi, że jednak zapobiegliwość rządu niemieckiego zrobiła swoje, że lud ocenia porobione ustępstwa, uważając je za swoje zdobycze.

Jeśli zestawić stosunki niemieckie ze stosunkami w państwie rosyjskim, nasuwa się mimowoli rażąca analogja sytuacji, a wówczas powstaje pytanie: czyż i skutki podobieństwa sytuacji będą podobne. Niestety, nie zanosi się na nie; ostatni projekt rządowy nie zwiastuje poważnych reform w przyszłości bliskiej. Zwyciężonym biada — oto dewiza, której świadomie czy bezwiednie trzyma się rząd a z nim Duma. Wątpliwe jest, czy rząd niemiecki innej dewizy się trzymał; niewątpliwe jednak, że potrafił wykorzystać w swoim interesie epokę reakcji i represji.

Edw. Grab.

Międzynarodowy kongres oświaty ludowej.

(Odbyty w Paryżu dn. 1 — 4 października 1908 r.)

(Dokończenie.)

Delegat dawno już istniejącego w Paryżu „Stowarzyszenia popierania sztuki w szkole" gorąco poleca rozwijanie w dzieciach zmysłu artystycznego. W dziecku powinno się wyrabiać miłość dla natury, dla drzew, kwiatów i zwierząt, przez co pogłębia i uszlachetnia się jego uczuciowość.

Z referatów o stanie oświaty ludowej w Anglji godnym uwagi jest sprawozdanie z wieczornych kursów dla dorosłych. Liczba kursów wynosiła ogółem w roku 1885-ym 839 i w roku zaś 1899-ym już 6000! zaś liczba słuchaczów wzrosła w tym samym przeciągu czasu od kilkunastu tysięcy do blisko pół miljona. Rząd angielski popiera prywatną inicjatywę tych kursów w ten sposób, że za każdą godzinę zapisanego słuchacza daje 10 kop. subwencji.

Wielce ciekawym jest referat włoskiego delegata o „o ogrodzie wychowawczym Nomentano" w Rzymie. Jest to jedna z najpiękniejszych instytucji tego rodzaju. Celem „ogrodu wychowawczego" jest przygotowywanie dzieci ludu do pracy rolniczej. Obszar ogrodu wynosi 35000 metrów kwadratowych. Każde dziecko dostaje kawałek ziemi i zasiane przezeń na tym kawałku ziemi produkty stają się jego własnością. Ogromny pawilon przeznaczony jest na prace techniczne związane z rolnictwem.

Gimnastyka, śpiew, zabawy i teatry amatorskie urozmaicają pracę. Przyjmowane są dzieci płci obojga.

Mieliśmy też 3 polskie referaty: o Uniwersytecie dla Wszystkich, o kursach dla dorosłych analfabetów i o czytelniach bezpłatnych w Warszawie. Delegat uniwersytetu dla wszystkich, sekretarz tegoż uniwersytetu p. Stanisław Kruszewski w świetnie napisanym referacie przedstawił stan instytucji, warunki w jakich powstała i w jakich się rozwija. Zwrócił też uwagę na dodatnią metodę decentralizacji w tego rodzaju instytucjach oświatowych. Metoda ta (t. j. podzielenie Warszawy na dzielnice obdarzone możliwie największą swobodą w wyborze wykładów i sposobie organizacji) wielce sprzyjała rozwojowi Uniwersytetu.

Panna Zofja Kruszewska dała dokładny obraz działalności Stowarzyszenia Kursów dla dorosłych analfabetów, kładąc nacisk na ciężkie warunki politycznego życia, utrudniające normalną pracę oświatową i zwróciła też uwagę na dzisiejszą reakcję, która wielce osłabiła tak dobrze zapowiadającą się działalność stowarzyszeń oświatowych jeszcze dwa lata temu. Oba te referaty przyjęte były przez kongres z wielkim uznaniem. Towarzystwo czytelni bezpłatnych przesłało też swoje sprawozdanie. Na tle wielkich liczb czytelni w miastach europejskich, statystyka naszych bezpłatnych czytelni warszawskich zrobiła smutne wrażenie. Wszystkie te czytelnie razem liczą około 14000 czytelników i 36500 tomów. Wydatki roczne na utrzymanie czytelń dochodzą do 10,000 rubli.

Po odczytaniu sprawozdań przystąpiono do obrad nad utworzeniem Międzynarodowego Biura dla spraw oświaty ludowej. „Wszystkie opisane przez delegatów różnych krajów instytucje — mówił gieneralny referat — powinny się wspomóc wzajemnie: organizacja pouczających wycieczek do krajów obcych, międzynarodowa wymiana dzieci i pedagogów, międzynarodowe kursa wakacyjne, specjalne kursa dla obcych kolonji przebywających w danym kraju i t. p. — oto przedmioty usiłowań przyszłego Biura. Następująca uchwała przyjęta została jednogłośnie: „2-gi międzynarodowy kongres oświaty ludowej, w celu zadzierzgnięcia stałych stosunków pomiędzy stowarzyszeniami oświatowymi wszystkich krajów i wzajemnej wymiany usług, postanawia założyć „Biuro międzynarodowe dla spraw oświaty ludowej, mające za zadanie przyczynić się do rozwoju oświaty i wychowania świeckiego wszystkich narodów; ustalić kontakt wszystkich organizacji oświatowych opartych na prywatnej inicjatywie i publikować rezultaty prac i doświadczeń każdego narodu". Delegaci niemal wszystkich narodów europejskich weszli w skład Biura. Polskę reprezentuje w Biurze p. Stanisław Kruszewski, sekretarz Uniw—dla wsz. oraz p. Strzembosz sekretarz Bibjoteki polskiej w Paryżu (stacja naukowa Akademji Krakowskiej).

Założenie międzynarodowego biura oświaty ludowej jest bodaj najdonioślejszym czynem kongresu. „Każdy naród—głosi odezwa kongresu — ma swoją tradycję, swoje obyczaje, swoiste metody życia. I to się w szczególności stosuje do spraw oświaty. Lecz to nie wyłącza bynajmniej wzajemnego korzystania ze zdobyczy i doświadczeń różnych narodów. Przeciwnie, owo wykorzystanie zdobyczy innych było zawsze i jest bezwzględnym warunkiem nie pozostawania w tyle na drodze powszechnego postępu oświaty i wiedzy. Biuro międzynarodowe odda pod tym względem usługi nieocenionej wartości.

Nazajutrz, dn. 3 października przedmiotem obrad były dwie sprawy: wykształcenie zawodowe i międzynarodowa wymiana dzieci. W sprawie wykształcenia zawodowego również panowała zgoda co do punktów zasadniczych: obowiązkowe wykształcenie elementarne powinno trwać do lat 14-tu, przyczym w ciągu 2 ostatnich lat w szkole nauczanie powinno przyjąć charakter wykształcenia zawodowego; wykształcenie zawodowe, poszkolne powinno być obowiązkowe do 18-go roku życia; odpowiedni paragraf prawa powinien wzbronić zmniejszania płacy lub przedłużania terminatorstwa na skutek uczęszczania robotnika na kursa zawodowe w ciągu dnia pracy. Sprawa wykształcenia zawodowego jest rozwiązana w Niemczech, w Szwajcarji i w stanach Zjednoczonych. Z referatów, przedstawionych przez delegatów tych krajów widzimy świetne rezultaty obowiązkowości wykształcenia zawodowego: prawo to okazuje się korzystnym zarówno dla robotnika łatwiej znajdującego pracę i dobrą płacę, jak i dla fabrykanta, posiadającego wykwalifikowanych w swym fachu specjalistów. W państwach, gdzie wykształcenie zawodowe nie jest nakazane przez prawo, nic uczynić nie można dobrą wolą i drogą prywatnej inicjatywy: jeżeli terminatorom pewnego zakładu czy fabryki, właściciel pozwala uczęszczać na kursa zawodowe podczas dnia pracy, a drugi fabrykant konkurujący z pierwszym na to nie zezwala, wytwarza się wtedy nierównowaga produkcji na niekorzyść pierwszego. To już dowodzi konieczności obowiązkowego wykształcenia zawodowego.

Ostatnim przedmiotem obrad była, jak już wspomniałem, sprawa międzynarodowej wymiany dzieci. System ten polega na tym, że dwie rodziny różnych narodowości zamieniają między sobą swoje dzieci na przeciąg pewnego czasu. W ten sposób koszta pobytu dziecka w obcym kraju sprowadzają się do minimum t. j. do wydatków na podróż.

Dziecko, znajdujące się w obcym otoczeniu poznaje szybko język danego narodu, jego życie i obyczaje, w ten sposób podróżując w ciągu paru lat, może z łatwością poznać kilka języków a przez zmianę wrażeń kształci i zbogaca swój umysł. Ma to też swoje wielkie znaczenie społeczne: nic nie może lepiej zwalczyć rasowej, narodowej i religijnej nienawiści i wyplenić przekazanych przez tradycję przesądów. Korzystanie z dobrej i czułej opieki rodziny obcej narodowości, odsuwa już od dziecka szowinizm. W Paryżu już od czterech lat istnieje „Towarzystwo międzynarodowej wymiany dzieci i młodzieży" (Boulevard Magenta 36). W przeciągu tego czasu T-wo zdołało przeprowadzić wymianę 810 dzieci francuskich i obcych. Ze sprawozdania tego T-wa widzimy wielkie zadowolenie rodziców i świetne skutki tej metody.

Omawiano też sprawę organizacji wycieczek pedagogów i profesorów. Za przykład służyć może wiedeńskie stowarzyszenie Lererhausverein liczące 3000 członków, nauczycieli i nauczycielek, organizujące corocznie zbiorowe podróże do Anglji, Hiszpanji, Francji i Włoch. Zasadnicze uchwały w sprawie wymiany dzieci brzmią, jak następuje: 1-o Państwo powinno wszelkimi sposobami popierać międzynarodową wymianę dzieci, nie biorąc wszakże na siebie roli kierowniczej, która winna pozostawać najzupełniej w dziedzinie prywatnej inicjatywy. 2-o Prasa pedagogiczna i władze szkolne powinny wykazywać rodzicom korzyść wypływającą z tej wymiany. 3-o Należy ukonstytuować międzynarodową komisję wymiany dzieci.

Oto są główne sprawy omawiane na zjeździe. Nie mogę w niniejszym sprawozdaniu przemilczeć urządzonego przez kongres obchodu na cześć zmarłego 2 lata temu uczonego francuskiego Berthelot. Była to wielka manifestacja wolnej myśli, do której przyłączył się rząd francuski w osobie prezydenta Fallières'a.

Przemawiali: Rajmond Poincaré, senator b. minister oświaty, Leon Bourgeois, b. prezes ministrów i prezydent Fallieres. Ten ostatni zakończył swoje przemówienie zdaniem: „Berthelot miał całe życie przed oczyma obraz przyszłego, lepszego, sprawiedliwszego społeczeństwa; ukochał on nadewszystko tych bohaterów minionych stuleci, którzy pragnęli zerwać kajdany założone na myśl ludową; do ostatniej chwili pozostał apostołem nauki, wolnej myśli i sprawiedliwości".

Ostatni dzień zjazdu był poświęcony zwiedzaniu różnych instytucji oświatowych i kulturalnych w Paryżu.

Nie potrzebuję dowodzić, jak wielkie znaczenie miał kongres dla sprawy powszechnego postępu na drodze oświaty ludowej, a przez to samo — wszechświatowej cywilizacji i kultury. Zjazd odbyty w centrum współczesnej kultury, w Paryżu, pokazał światu dobitnie, że sprawa oświaty ludowej jest to sprawa postępu całej ludzkości i że na tej drodze—współdziałanie i solidarność narodów powinna i może się wyrazić w całej pełni. I to jest w obecnej epoce wydarzeniem doniosłości niezmiernej.

Józef Wasercug.

NA DOBIE.

D-r Franciszek Rajkowski.

Śmierć d-ra Franciszka Rajkowskiego wzbudziła głęboki żal w sercach tych wszystkich, co zbliska spoglądali na ofiarną i niezmordowaną działalność zmarłego zarówno na polu pracy zawodowej jak i życia publicznego. Jak wysoce cenioną jednostką był F. Rajkowski, o tym świadczy najlepiej serdeczne wspomnienie, jakie mu poświęcił Aleksander Świętochowski w *Nowej Gazecie.*

Oto jego słowa:

„Przez 30 lat widziałem go, jak w szkole rozdzielał swe młode siły między dwa głody: ciała, któremu często brakło chleba, i duszy, którą niezmordowanie karmił wiedzą. Widziałem go później, jak, zostawszy lekarzem w Ciechanowie, zdobywał rozgłos zdumiewającą pracą i poniewierką. Widziałem, jak całymi miesiącami nie przespał ani jednej nocy w łóżku, jak wywożono go gwałtem zmęczonego z domu, porywano w drodze, przewłóczono przez najokropniejsze wertepy i najstraszniejsze szarugi — a on zawsze spieszył z pomocą, chętny, życzliwy, bezinteresowny, nikomu swych usług nieodmawiający, niebezpieczeństwem chorych tak zaniepokojony, jakgdyby w nich ukochane istoty miał stracić. Widziałem, jak każdą sprawę społeczną wiązał ze swymi uczuciami i energją, jak z najbardziej oddalonych miejsc przybywał na obrady zmordowany pracą i niewywczasem, jak ciągle był szlachetnym człowiekiem, ofiarnym dobroczyńcą, gorącym patryjotą, dla którego żaden trud nie jest za wielki i żadne poświęcenie za ciężkie. Nie było przedsięwzięcia obywatelskiego, do którego on by się nie przyłączył i w zastępie pracowników lub szeregu bojowników nie stanął. W ostatnich latach już omdlały i osłabiony wyczerpaniem sił fizycznych, zabiegał pozostałą ich resztą o stworzenie niższej szkoły rolniczej w Sokolówku, powierzonym mu na ten cel testamentowo. Prawdziwie zaczął odpoczywać dopiero w grobie.

Taki ogrom energji musiał być niewątpliwie przyrodzonym darem syna tej warstwy społecznej, w której spoczywa niewy-

dobyta dotad, największa i najzdrowsza moc naszego narodu. Rajkowski był sam swoim znakomitym przodkiem i ujawniał w sobie moralną potęgę i obywatelskie szlachectwo polskiego ludu.

Był to szlachetny kruszec, rozpuszczony w potoku życia, nieskupiony w bryle i niewystawiony na pokaz: był to bohater cichy, za którym nie biegła wrzawa chwały publicznej, bo pracował i walczył nie na wierzchu społeczeństwa, lecz w jego głębi. Tym większy obowiązek świadków jego działalności złożyć o niej świadectwo. Jestem jednym z nich, jestem również z tych, którzy mu zawdzięczają nigdy niezapomniane dowody życzliwości i przyjaźni. Tak wierzyłem w jego szczerą i czujną gotowość do pomocy, że gdybym o nią kiedykolwiek potrzebował zawołać, wiedziałbym, że między pierwszymi, którzy na mój głos przybiegną, byłby Rajkowski. Na trumnę takich ludzi rzucamy nie garście ziemi, ale kawały serca naszego, a gdy oni odchodzą w wieczność, uczuwamy nietylko żal, ale trwogę, że po ich śmierci ogarnie nas głucha pustynia.

Boleśnie mi, że skutkiem niezdrowia nie mogę wylać moich łez na jego mogiłę w dniu, w którym go przyjmie łono ukochanej przez niego ziemi.

A. Świętochowski.

Wystawa w Kruszynku. [1]

Wszak wiemy, czym jest szkoła w Kruszynku? tu zwyczajna szkoła dla dziewcząt wiejskich jest czemś zaprawdę nadzwyczajnym. Bo jest to taka szkoła, która z dziewczyny wiejskiej wziętej ze środowiska półbarbarzyńskiego robi w ciągu roku, nietylko światłą gospodynię, rozumną żonę i matkę, dobrą córkę, siostrę, sąsiadkę ale przedewszystkiem — człowieka.

Jakim sposobem dokonywa się tam ten cud, to już jest tajemnicą kierowniczki tej szkoły, kobiety wielkiego serca, szerokiego umysłu a jeszcze większego charakteru p. Jadwigi Dziubińskiej.

Ona to, z pomocą nielicznego ale harmonijnie zgranego z nią ideowo personelu nauczycielskiego, dokonywa tej wielkiej metamorfozy w duszach, sercach, umysłach i obyczajach dziewcząt wiejskich. Oddawna stykałem się z Kruszyniankami i zawsze doznawałem bardzo miłego wrażenia. Zdumiewało mnie ich wyrobienie społeczno-kulturalne, duży zasób wiadomości praktycznych, wdzięk i prostota w obcowaniu, oraz umiejętność realizowania w życiu pragnień i zamiarów szlachetnych.

To też skwapliwie skorzystałem z zaproszenia kierowniczki szkoły i pojechałem obejrzeć wystawę przemysłowo-gospodarczą w Kruszynku. Wystawa ta jest właściwie pokazem poglądowym, co umieją robić Kruszynianki. Urządzono ją z wielkim gustem w stylu swojskim, starannie i prostymi środkami, bo za pomocą wielkiej obfitości jałowcowych girland i gałązek, papieru różnokolorowego, wycinanek, pająków, chustek wiejskich i kilimów osiągnięto całokształt arcybarwny, oryginalny i wybitnie ludowy. Na plac wystawowy, przed budynkiem szkolnym położony, zajeżdżamy wielkim drabiniastym wozem. Stajemy przed bramą z zieleni na której powiewa dużo mówiący napis. „Ciekawość to pierwszy stopień do wiedzy". Ten aforyzm w swej prostej i zwięzłej formie, przeczy innemu bardzo szerokie wśród ludu naszego mającemu zastosowanie „że ciekawość to pierwszy stopień do piekła". Co więcej stawia on nową ocenę wartości, rzuca w lud nowe hasło skupiające w sobie to wszystko, co ku postępowi prowadzić go może. To też ten symboliczny napis doskonale na wstępie już usposabia do wystawy. Zaledwie się przekroczy bramę, rzuca się w oczy okazały jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, w stylu zbliżonym do wiślanego gotyku w którym mieści się szkoła. Nie czas przyglądać się budynkowi szkolnemu, gdy pawilony wystawowe nęcą oczy.

Najpierw, zwiedzam pawilon przetworów owocowych łącznie z pokazem warzywnictwa i sadownictwa. Zdumiewają mnie rozmiary jarzyn, ich doskonały wygląd, oraz piękne owoce. Owoce te widzę w stanie surowym i przerobione na przetwory owocowe, takie jak wina, konfitury, soki.

Jeden moich znajomych, rolnik podszyty społecznikiem, ciągnie mnie za ramię.

„Patrz pan i ciesz się, tu jest to, czegoś napróżno szukał na „pańskiej wystawie" w Lipnie".

Prawda jest tu stolik czystym obrusem nakryty, a na nim wystawa próbek zboża wyprodukowanego przez drobnych rolników kujawskich, członków „Kółka rolniczego w Smiłowicach" [2]).

W woreczkach leżą ziarna ozime i jare, groch, pastewne rośliny, a wszystko mówi o tym, że płodną glebę kujawską, drobny rolnik umie już tam wyzyskać należycie. Ziarno jest okazałe, gatunki jego dobre. Obok stolika w koszach albo wprost na ziemi widzimy kilka odmian najlepszych ziemniaków, marchwi, buraków cukrowych i pastewnych. Niektóre okazy są aż potworne swą wielkością. Jest np. burak 10-o funtowy, wyhodowany na chłopskim półku. Objaśnień przy tym dziale udziela poważny gospodarz w granatowej sukmanie, o twarzy pogodnej i mądrych oczach.

— Aby to jedno zobaczyć, warto było przyjechać tutaj — mówię po oględzinach.

— A no pomalutku dźwigamy się i my. A pracować na naszej ziemi — warto. Hojna to matka, stokrotnie płaci za staranek.

Idziemy dalej.

Stary płócienny pawilonik, przybrany zielenią i wycinankami łowickimi.

W nim mały stolik i krzesełko oraz pełno robót w ochronkach dokonywanych. To szkoła ochroniarek z Włoch pokazuje tu swoje prace. Stale, parę „Włoszek", jak je popularnie nazywają, udziela objaśnień gromadzącym się włościanom, mówiąo znaczeniu ochronki dla dzieci, o sposobie zatrudnienia ich w niej, o potrzebie zakładania ochronek przez gminy.

Sypią się pytania zewsząd, tłum przed pawilonem rośnie, odpowiedzi ze strony ochroniarek żywe, interesujące, budzą zajęcie. Dalej, widać duży, zdala rwący oczy swą barwnością pawilon z tkackimi wyrobami szkoły.

Są tam płótna, kilimy na portjery, dywany, fartuszki, ręczniki. Wszystko wykone na warsztatach w szkole. Ruch sprzedażny spory, sypią się zamówienia.

Obok działu przemysłowego, opodal w klatkach i zagrodach z desek pobielonych, umajonych zielenią, opatrzonych objaśniającymi napisami, stoją okazy żywe, jałowizna rasy holenderskiej, świnie yorkshiry wielkie króliki, kaczki, kury. Wszystko utrzymane wzorowo.

Idziemy zwiedzać to, co się mieści w budynku szkolnym, a więc warsztaty tkackie, bieliznę szytą przez uczennice, stoły zastawione smakowitym jadłem i pieczywem. Potym oglądamy salę szkolną i sypialnie, jasne widne, w zwykłej porze białutkimi łóżkami zastawione, zwiedzamy kuchnię, pralnię, spiżarnię, piwnicę, budynki gospodarcze. Wszędzie na każdym kroku uderza czystość, celowość. Wszędzie spotykamy skorą do objaśnień Kruszyniankę. Zdumiewa nas jedno—oto że wśród tego olbrzymiego napływu zwiedzających, jest ład w tym wszystkim. Każdy jest nakarmiony i obsłużony z jednakową uprzejmością. Program dnia pierwszego wypełnia: msza w pobliskim kościele w Kruszynie, na której chór ochroniarek śpiewa wcale ładnie, potym z kościoła idziemy do pobliskiego budynku szkolnego, gdzie odbywa się posiedzenie „Kółka rolniczego", na którym wygłoszone zostają 2 odczyty. Pan Gabryjel, znany hodowca mówi o hodowli świń, o najodpowiedniejszych dla drobnych rolników rasach, o ochronnym szczepieniu świń.

Odczyt wypowiedziany bez retorycznych frazesów, prosto, zwięźle demonstrowany ilustracjami odpowiednimi, wysłuchany był z wielką uwagą i wywołał żywą dyskusję. Po pogadance p. Gabrjela zabrał głos p. Chmielewski, zawodowy mleczarz; ten, w świetnej wprost pod względem formy i treści pogadance ożywionej przykładami, wykazywał zebranym korzyści, wypływające z spółkowych mleczarni—i sposób zakładania tychże.

Pogadanka p. Chmielewskiego przyjęta była grzmotem oklasków i wywołała długą gawędę wśród zebranych. Na zakończenie p. Wł. Wejchertówna, przemawiała gorąco na temat kulturalno-uspołeczniającego znaczenia działalności spółkowej.

Po zasileniu ducha i umysłu, wielką gromadą ruszyliśmy z powrotem do Kruszynka. Pomimo, że zimno dokuczliwe dawało się we znaki niektórym pierwszego dnia wystawy, w dobrym humorze ruszyliśmy pieszo z powrotem do Kruszynka. Tam, na placu wystawowym zastaliśmy nowe tłumy przybyszów głównie włościan, choć tu i owdzie widać było w tłumie twarze typowo szlacheckie i trochę inteligientów przybyłych z Warszawy, Włocławka i Łowicza. Jest p. Malinowski red. *Zarania*, [3]) jest d-r Chmielińska inicjatorka niezapomnianej I-szej ludowej wystawy w Łowiczu, są wybitni przedstawiciele światłego włościaństwa, delegaci od szkoły dla chłopców wiejskich w Pszczelinie przybyli w liczbie 5-ciu, jest trochę uczniów szkoły w Włocławku, są członkowie „Koła gimnastycznego w Włocławku", są dziennikarze z Warszawy... Ale to wszystko ginie, w gromadzie około 800 włościan z różnych stron kraju przybyłych. Przywitawszy się ze znajomymi świeżo przybyłymi, zasiadamy do stołów przybranych obficie zielenią i kwieciem. Całą paczką znajomych sadowimy się przy bocznym stoliku, na którym w prostym glinianym dzbanie stoją cudne cytrynowego koloru gieorginje. Zajadamy z apetytem pyszny bigos, i zapijamy go barszczem. Program popołudniowy wypełniają bardzo udatne popisy: „Koła gimnastycznego" z Włocławka, potym młodzież tańczy w jednej z sal sypialnych, zamienionej „ad hoc" w salę balową, po tańcach Kruszynianki i „Włoszki" śpiewają chórem, a wieczorem „Włoszki" grają jedną scenę z pięknego alegorycznego utworu p. t. „Poszukiwacz szczęścia" i obrazek ludowy „Przed ożenkiem". Ten utwór ma znaczenie aktualne, bo drugiego dnia w szkole w Kruszynku odbyło się wesele Pszczeliniaka z jedną z uczennic, której jednak pan młody nie zabierze zaraz do siebie, lecz pozostawi w szkole aż do skończenia kursu, to jest do Bożego Narodzenia. Rzecz godna zaznaczenia, oto państwo młodzi skorzystali z dorocznie urządzanej wystawy prac uczennic w Kruszynku, aby się pobrać a pieniądze, zaoszczędzone na wydatkach weselnych, przeznaczają, ona na stypendjum dla Kruszynianki, on na takież stypendjum dla Pszczeliniaka.

Kółko C. T. R.

---

[1]) Kruszynek poczta Włocławek gub. warszawska, szkoła dla córek włościańskich.

[3]) Niezależne społeczne pismo ludowe.

Gwarno więc będzie i wesoło jutro w Kruszynku, radby człowiek został jeszcze, aby popatrzeć, z jaką fantazją lud nasz się rusza tam, gdzie się czuje u siebie, gdzie może być sobą. A gospodarzem, nie gościem zaproszonym jeno przez grzeczność, czuł się lud na wystawie gospodarczo-przemysłowej w Kruszynku.

St. Poraj.

Szkoła i życie.

Odczyt pana Marguliesa.

Szkoła zawsze była wyobrazicielką dążeń i pragnień klasy rządzącej, dlatego też była taką, jaką chciał ją mieć stan, posiadający w danej chwili władzę nad społeczeństwem. Dotychczas uważano szkołę jako instytucję przygotowującą do życia, tymczasem szkoła sama jest życiem. Nie jest ona przyszłością ale teraźniejszością, chociaż bynajmniej nie wyrzeka się pracy dla przyszłości. Czas wreszcie, by szkoła stała się instytucją samodzielną, nie służącą żadnym ubocznym względom ani interesom, jeno samej sobie. Prelegient przemawiając goraco w imieniu praw młodzieży do życia, przytoczył okrzyk wydany niedawno przez młodzież krakowską: „Chcemy żyć", następnie powołał się na sztukę Ibsena „Jan Gabrjel Borkman" gdzie syn rzuca ten sam okrzyk matce nawolywującej go do spełnienia misji rodzinnej, oraz ciotce która go wychowała i która pragnie, by jej poświęcił ostatnie parę tygodni pozostających jej jeszcze do życia: „Dość tego — nie jestem misjonarzem, — nie jestem zdolny do poświęceń — chcę żyć. Ten egoistyczny wykrzyk jest dla prelegienta punktem wyjścia. Przyznaje, że młodzież bywa zwykle egoistyczną, ale czyż i dorośli nie są również takimi? Dążność do kształcenia młodzieży w szkole na przyszłych obywateli kraju nazywa wprost „opłakaną". Dzieci posiadają swoje własne drobne interesa i nie chcą być misjonarzami; mają one bezwzględne prawo do swojego dziecięcego światopoglądu; musimy też bardzo ostrożnie narzucać im różne zadania obywatelskie. Dzieci przedewszystkim mają prawo do życia, słońca, powietrza, łąk, gór, dolin i lasów,a później dopiero do obowiązków życiowych. Praca dla celów odległych jest zdaniem prelegienta, pracą bezcelową.

Dlatego też pragnąłby usunąć zupełnie, zwłaszcza z klas niższych, wszelkie żmudne uczenie się na pamięć i zastąpić to nauką poglądową, zastosowaną w jaknajszerszym zakresie. Żąda również pracy ręcznej, — pragnąłby by młodzież poświęcała jej po pięć godzin dziennie, twierdząc, że bez warsztatowej pracy niema szkoły ogólnokształcącej, szkoła przytym powinna tworzyć rodzaj klubu uczących się, oraz stowarzyszenia samokształcenia. Nie powinno się określać wieku dzieci przyjmowanych do danej klasy ani też ograniczać kursu szkolnego na przeciąg lat ośmiu, kiedy z równą słusznością mógłby trwać lat sześć lub dziesięć. Prelegient zakończył wezwaniem do obecnych, by uchwalili założenie szkoły normalnej odpowiadającej wygłoszonym przezeń wymaganiom.

Po odczycie nastąpiła dyskusja. Pierwsza zabrała głos p. Aniela Szycówna; przemówienie jej stanowiło niejako sprostowanie niektórych twierdzień prelegienta. Wyrzekła mianowicie, że dążność do uszczęśliwienia dzieci i uczynienia dla nich życia w szkole możliwie najprzyjemniejszym, zupełnie przyczynia się do wychowania ich na dobrych obywateli. Słusznie też dodają, że dziecko nietylko ma prawo do jaknajswobodniejszego korzystania z życia ale i do nauki, o ile posiada w sobie pierwiastek życiowy i doniosły.

Wogóle odczyt p. Marguliesa wygłoszony z przekonaniem i zapałem, odznaczał się ogromną jednostronnością. Jako przeciwstawienie jego dezyderatom możemy przytoczyć szkoły w Japonji, które za cel stawiają sobie ukształcenie młodzieży na wzorowych obywateli a jednocześnie potrafią być dla niej prawdziwym rajem. Zefeadio Hearn przytacza wzruszający przykład chłopca, który umierając każe się jeszcze zanieść na ulicę, gdzie znajdowała się szkoła, aby przynajmniej spojrzeć z daleka na jej ściany. Z drugiej strony przeczytajmy co mówi tak poważny pedagog, jak Foerster o zamienianiu nauki w zabawę i o fatalnym wpływie, jaki system ten wywiera na wyrobienie woli i charakteru. Taki system twierdzi on, byłby dobrym, gdyby ziemia była rajem i życie nasze nie było walką, lecz nie mamy prawa, w świat taki, jakim jest, rzucać istoty zupełnie doń nieprzygotowane.

Zebranie pomimo dość żywej wymiany zdań, rozeszło się, rzecz prosta, bez powzięcia jakiejkolwiek konkretnej uchwały.

M. Ł.

LITERATURA I SZTUKA.

Leopold Staff: **Gałąź kwitnąca.** Lwów, nakł. księg. B. Połanieckieg, 1908.

Gałąź kwitnąca, lecz kwitnąca — nad otchłanią. Pod słoneczną beztroską sadów wiśniowych, pod łanami zbóż i łąkami ugwieżdżonymi rosą jest głęboka zakopana i zawsze obecna wiedza o bólu i śmierci. Była walka ciężka i okrutna, pochowana w potężnym milczeniu. Staff zaczyna pieśń „pogodny mądrym smutkiem i wprawny w cierpieniu", z tryumfem przezwyciężenia, z męstwem, błogosławiącym „kamień i cierń" i wcielającym je w pełnię życia. Poszukiwania „skarbu" odkryły mu że „skarb" jest tylko nienapisaną księgą i życie jego stało się zapisywaniem jednej białej karty po drugiej strofami piękna, pieśniami o rankach, południach i nocach kwietnych, owocnych i szczęśliwych. I nigdy z pod tego żelaznego pancerza opanowania siebie nie wymyka się pełnym głosem przeraźliwy jęk grozy istnienia. Puchary, które zastawia, zawsze są świecące i pełne, nigdy nie ukaże strzaskanych lub pustych. Ból — to tylko probierz mocy; „Błogosław cierń i kamień swój. Lecz ich wspomogi nie zdołasz kochać tego, coć przy szłość wiadoma chowa: tak trudno kochać śmierć! A pokryjoma mądrość zabrania sercu nienawiści wrogiej". Na kamieniu ostrzy się klinga niezłomna. Staff nigdy nie daje wybuchu męki, nigdy nie odtwarza chaosu walki. Pieśń wytryska w momencie ostatecznego przezwyciężenia i dlatego wylewa się w formę doskonałą, skończoną, okrągłą, jak samoistna, świetna planeta. Przez ogromną kulturę woli rozdźwięki zostają przytłumione w celowej harmonji, gdy nam się zdaje, że ich brak.

Staff przedstawia wyjątkowy wypadek *przyjęcia świata* bez buntu i oporu, przyjęcia całkowitego, w *miłości*, w zlaniu swej woli z wolą wszechświata, w stopnieniu się z wszechistnością. Gdzie tryska taki zdrój, tam rodzi się piękno niepokalane i słoneczne. Tam się kocha i ból, i śmierć i w cudownym hymnie wygłasza się pewność: „wszystko jest jedno! Nic nie jest mogiłą!" Śmierć przyniesie grób w sercu". A zawsze leżeć będą w sercu swojem". I ta wiara w panteistyczną niezniszczalność tak jasno świeci w mrokach.

A jednak — chociaż się nigdy nie ozwie, nie zawyje stłumiona raz na zawsze potworna groza życia, jednak wśród słonecznych południ przewija się bluszczem nieruchomym i sztywnym gorycz i żal, potępienie dyskretne życia, którego tajń w innym miejscu się pochwala. Podobny przedśpiew rozpoczyna książkę, przechodzi w niej radosna czereda chwil upajających, łomotów mężnego wytrwania — a na końcu („Gdy ci koronę...") wada nieufania chwilom, pamiętania o tym, że „dola marna, i śmierć czarna". Niezaspokojone pragnienie wieczności kazało przez bolesne unikanie sprzeczności ukochać chwilę: „Kto przeżyć jedną chwilę umie duszą całą, temu oddaje całą wieczność chwila jedna". Lecz pomimo oporu instynktu życia, kamienna prawda przedziera czasem lekką tkaninę złud, zarzuconą na otchłań i rzuca na beztroską radość swój cień złowrogi. Bo bywa chwila, gdy ręka dźwigająca i wyprężona w końcu opada. Rzadkim jest milczenie poetów o tych chwilach, rzadkim ukazywanie nie ran swoich, tylko blizn bardzo dawnych.

Ci co upajali się pięknem poezji Staffa, nie zawsze chcieli ujrzeć w niej poza artyzmem, poza nastrojem, nagromadzoną skrzętnie, jak miód w ulu, mądrość życiową, głębokie doświadczenie wewnętrzne. W książkach „Ptakom niebieskim" i „Gałąź kwitnąca" poruszono najtajniejsze drgnienia duszy współczesnej, wyszeptano i wyśpiewano modlitwę ku świętości, modlitwę ku potędze. Dzieło poetyckie Staffa jest wielkim aktem religijnym — zlaniem się z wszechświatem, umiłowaniem i przyjęciem ziemi ze łzą niebieską nad nią, zarzuceniem złotolitej, jasnej zasłony na męty ziemi, rozradowaniem się w chwili, zamiast rozpaczy o wieczności. Dobra i mocna jest ta droga, szczęśliwie błąka się włóczęga, litując się nad wrosłym w swe groby osiedleńcem. I niech będzie błogosławiona gałąź kwitnąca, która odwraca oczy od otchłani... Nie wszystkim to dane!

Savitri.

Józef Relidzyński: **Poezje** I. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa. 1908.

Wiersze, zawarte w tym zbiorze, uderzają wprost szczerością rozmachu. To bardzo wiele już w czasach, kiedy raz po raz ukazują się tomiki wierszowane, przynoszące w starych, zużytych konstrukcjach formy myśl niedołężnie banalną; przytym tak poprawne, tak wypieszczone w ostrożnym namyśle, że daremniebyś w nich szukał jakiegoś ryzykownego, zuchwalego zwrotu, jakiejś kalekiej metafory, jakiegoś, słowem, dziwactwa, któreby jednak świadczyło o usiłowaniu oryginalności, o walce z trudnościami właściwego wyrazu. Tej tępoty, zakrzepłej w konwencjonalizmie, niema w książeczce p. Relidzyńskiego. Co do formy: p. Relidzyński swobodnie, powiedziałbym: buńczucznie rzuca przenośniami i zwrotami, bardzo często zupełnie nieudałymi, zawsze — niedociągniętymi w rysunku. Co do treści: dziecięca jeszcze dusza autora obraca się niewątpliwie, w sferze myśli znanej i dostatecznie zdyskredytowanej, lecz myśl ta, że jest młodzieńczo świeża i szczera, niema w sobie nic z ustalonych form umysłowego zdechlactwa. Nieprzepalona w ogniu świadomości duszyczka gubi się w niekonsekwencjach. Rozpatrzmy to bliżej.

Wszystkie te wiersze powstały niewątpliwie w cieplarniano-dusznej atmosferze kultu dla piękna, piękna, którego on, p. R. jest, *powinien być*, kapłanem, bal posłannikiem. Oczekują od niego nowego czynu. Wmawiają to wprost w niego. Ale on się broni:

„Lecz ja się boję, czy owo zadanie,
Co ma mię czekać, na me słabe barki
nie jest za wielkie i za ciężkie na nie; (!)
i ja się boję, że złośliwe Parki
zbyt prędko przetną życia mego nici,
nim Czyn mój wszystkie porozpala wici".
(str. 35).

I skarży się dalej:

„Idziemy milcząc, a ku nam *liljowy*
śnieg, by naszego smutku *biała* postać,
i mówi słodko, gładząc nasze głowy:
„Biedni! wam trzeba było dziećmi zostać!"
(str. 93).

Próżno jednak tęskni do ciszy, do spokoju, do Nirwany. Nie to. On powinien — *jemu każą* — mieć potęgę

„orła o skrzydłach, które, kiedy pragną
wszystko okiełzną i wszystko rozszarpną"
(str. 60).

Ta krańcowa rozbieżność, przy rozbrajającej prymitywności formy, prowadzi oczywiście do rażących zgrzytów. Niekiedy wprost śmieszy. To też poza jedynym fragmentem lirycznym, utrzymanym od początku do końca w pięknej harmonji („O, pieśni moje!") wierszy, zawartych w tym tomiku niepodobna zaliczyć do literatury. Prawda: są śmiałe, dość szczęśliwe czasem, usiłowania w kierunku pięknych rymów; ale są też częste, nieznośne groteski dźwiękowe. Są krótkie momenty ładne i oryginalne o zgoła niepospolitym rysunku lub kolorze; ale tuż zaraz, w tej samej bodaj strofie, chaos nikłych słów w niezdarnie powikłanym wyrazie. To znów doskonałe uchwycenie nastroju przy niezgrabności szczegółów wykonania („Melancholja"); lecz obok tego: „życie krótkie jest—niestety — szału skrę!" (?) (str. 50).

Czasem, wyjątkowo, uderzy pełna strofa:

„Bądź pochwalonem, cudotwórcze słońce,
na zórz jutrznianych złocistej pościeli,
Już idą twoje promieniste gońce,
I już liljowo pierwszy świt się bieli!" (str. 106).

Ale daleko częściej biegunowo inna, w rodzaju:

„a senne kwiaty naszych łąk
opiszą bezdeń naszych mąk,
w którą zawcześniem tutaj wsiąkł". (str. 33).

Kiedy składa hołd słońcu, że „wieczną wolność kryje w swoim łonie" (str. 107), gdy się zwraca uroczyście do Młodej Polski i gromi na „pieweów", że wątpią niesłusznie, bowiem... „ze śniegu wschodzi pierwsze wiosny kwiecie" (str. 112), lub, gdy umieszcza siebie w szeregu Nowatorów, „których zduszono śliną, błotem, by im pomniki stawiać potem" (str. 29), — nie podobna nie uśmiechnąć się, wzruszywszy ramionami. Ale już z przykrością spostrzega się, że zamiast „dlatego", pisze „temu", lub zamiast „po tobie", — „po cię".

Mógłbym doprawdy cytować bez końca, mógłbym się znęcać. Nie uczynię tego. Nie chcę stać się, jak owo Bóstwo p. Relidzyńskiego, przed którym to korzy się autor i ufa Mu, to znów „które,by poznać mądrych karłów mnóstwo, wysila próżno myśli swych ubóstwo". (str. 16).

Streszczam się. Autor zawcześnie wystąpił ze swoim tomikiem. Nie jego to wina zresztą: doradzono mu. Za parę lat, gdy się otrząśnie ze „słodkich hymnów pochlebstw" (str. 12), oceni właściwie to pierwsze wystąpienie swoje. Wtedy sam osądzi, czy ma prawo — tworzyć. Napewno. Bo przecież mówi w swojej „Prośbie" ze szlachetnym entuzjazmem czystego, dziecięcego serca:

„Jeśli mam być iskierką, a nie złotym zniczem,
to raczej niech zamilknę i nie będę niczem!"
(str. 11).

Ciekawe istotnie.

Mieczysław Finkelstein Ziębowski.

Teatr Rozmaitości: „**Słowo honoru**". Sztuka w trzech aktach O. E. Hartlebena, reżyserował Józef Śliwicki.

Schlänker opowiada we wstępie do niemieckiego wydania dzieł Ibsena, iż kiedyś w jego obecności zrobił ktoś Ibsenowi zarzut, że, broniąc swego zdania, sam sobie przeczy; staruszek uśmiechnął się na to i zapytał: czy zdarzyło się panu kiedykolwiek domyśleć pewną myśl do końca, by nie natknąć się na absurd lub sprzeczność? I rzeczywiście niema założenia, ani postulatu etycznego, ani przykazania, któreby w pewnych warunkach nie okazałoby się bezpodstawnym, śmiesznym, albo nawet szkodliwym. Wyszukiwaniem tych sprzeczności, uchyleń od słusznej bądź co bądź zasady trudnią się nasi żonglerzy etyki, ci nowocześni sofiści, którzy od swych klasycznych przodków przejęli giętkość języka, ale podparli ją własną już giętkością sumienia, a za zręczność swych wywodów żądają najczęściej czegoś więcej niż próżnej beczki na mieszkanie.

Nie trudno jest dowieść, że najświętszy zakaz: nie zabijaj! traci swą siłę, gdy nie mniej święty obowiązek wzywa nas do obrony kraju, albo wyznawanej idei; gdy powikłanie tak zwanych interesów państwowych zmusza jednych do najazdu i napaści, a innych do obrony; gdy napięcie dwuch światopoglądów, dwuch żywiołów prowadzi do nieuniknionego zderzenia się dwuch sił: jednej związanej z zapleśniałymi formami stygnącego już dziś i drugiej torującej drogę lepszemu jutru. Czy przez to jednak sama zasada, ten najpierwszy okrzyk cywilizującego się człowieka: nie zabijaj! traci doszczętnie swą słuszność i obowiązującą moc?

Hartleben mógł był nam pokazać, że bezwzględne dotrzymywanie danego słowa honoru nie zawsze bywa zasadniczym postulatem naszej towarzyskiej etyki i nie wyłącza wszelkich kolizji z sumieniem, ale gdy, przechodząc na śliską drogę uogólnień z bardzo starannie skomponowanego wyjątku starał się kuć zasadę, robił on na mnie wrażenie człowieka, który, zapaliwszy po raz pierwszy w swym piecu węglem kamiennym wpadłby na pomysł ogrzewania swego domu prawdziwym kararyjskim marmurem.

Ogień jest potężnym żywiołem, a język posiada często większą siłę w mieleniu niż żarna młyńskie, to jednak miedziane tablice, na których ludzkość mozolnie ryła swe prawa, lizaniem pozacierać trudno.

Hartleben przedstawił pewne zdarzenie, dał obrazek z życia mieszczańskiego, ale naginając zbyt wyraźnie warunki i charaktery do swego założenia, nikogo nie przekonał, ani nawet zwątpień, czy wahań w niczyjej duszy zapewne nie wywołał.

D-r Gotter jako dwudziestoletni akademik dopuścił się kradzieży; okradł kasę studencką; koledzy jednak, przez wzgląd na jego młodość, pokrywają sprzeniewierzoną przez Gottera sumę i ręczą mu słowem honoru, że sprawy tej nie poruszą nigdy, jeśli zwróci pieniądze. W dziesięć lat później Gotter jest narzeczonym p. Elzy, w której kocha się jednocześnie ten sam Burkhard, który skradzioną niegdyś przez Gottera sumę pokrył a następnie zwrot jej słowem honoru pokwitował. Gotter jednak nie jest jednym z tych przestępców z przypadku, którzy popełniają błąd przez lekkomyślność, albo chwilowe zapomnienie się; obecne jego życie nie daje powodów do konnfliktu z kodeksem karnym, ale pomimo to jest on w głębi duszy „szują". Burkhard męczy się podwójnie raz dlatego, że traci ukochaną, a powtóre, że nie wierzy w jej szczęście przy boku człowieka, którego wartość moralna jest co najmniej podejrzaną. Ale dane przed dziesięcioma laty słowo honoru zamyka mu usta; wprawdzie nie zupełnie, bo pomijając sam fakt, głośno wypowiada on swój sąd o dawnym koledze, a reszte dokonywa bezczelne zachowanie się ufnego w posiadanie słowa honoru swych kolegów Gottera; złamanie tajemnicy staje się koniecznością, następuje wreszcie, Elza zrywa ze swym narzeczonym i — Ende gut, alles gut—prawdopodobnie wyjdzie wkrótce zamąż — za Burkharda.

Historja przekazała nam nazwiska ludzi, którzy śmiercią przypieczętowali wierność danemu słowu i innych, którzy, przeszedszy przez piekło wahań i męczarni, łamali to słowo w imię świętszych i głębszych wymagań sumienia, ale bohaterowie sztuki Hartlebena nie mają w sobie nic z tej koturnowej powagi; są to sobie zwyczajni bursze niemieccy, którzy z niechęcią wkraczają w koła zawiłych subtelności etycznych i choć męczą się trochę, nie znajdując wyjścia z trudnego położenia, to jednak zbyt się nimi nie przejmują i są dopiero sobą wtedy, gdy szczęśliwe rozwiązanie pozwoli im powrócić do codziennych swych zajęć i codziennych poglądów, bo przecież oni sami nadal będą dawali słowo honoru, a nawet będą je dotrzymywali — w miarę możności.

A z tym samym wrażeniem wychodzi też publiczność po wysłuchaniu sztuki Hartlebena...

Stefan Gacki.

Z Filharmonji.

Filharmonja otworzyła sezon zimowy dnia 16 b. m. koncertem na dochód kasy stowarzyszenia artystów teatrów rządowych warszawskich. Pomimo, że program ułożono obficie i artystycznie, publiczność nie dopisała, jak mówią, z powodu nadmiernie wygórowanych cen biletów; fakt, godny uwagi zarządu tej instytucji.

Orkiestra wystąpiła imponująco w pełnym, powiększonym znacznie składzie, co należy zapisać na dobro nowej dyrekcji. Wykonanie przez nią pod batutą Noskowskiego poloneza A dur Chopina, jak również arcydzieła dyrygienta „Step" (z wyjątkiem kilku miejsc w „Stepie", gdzie blachy zagłuszały kantylenę smyczkową), stało na wysokości zadania. Śpiew miał licznych przedstawicieli. Poza p. Metaxianem, w którego wykonaniu względnie najszczęśliwiej wypadła pieśń Rachmaninowa, śpiewali jeszcze pp.: Ostrowski, Drzewiecki i Malawski, panie Tracikiewicz i Mokrzycka. Miły tembr basu p. Ostrowskiego, doskonały pod względem wibracji, wybornie czysty i silny tenor p. Drzewieckiego, a dźwięczny i sympatyczny p. Malawskiego, miękki, zamało tylko jeszcze wyrobiony sopran p. Mokrzyckiej, a doskonale wyszkolony, brawurowy w koloraturze p. Tracikiewiczówny,—złożyły się na całość zupełnie zadawalniającą. Tylko p. Malawski niepotrzebnie sam sobie akompanjował do śpiewu: dobre to na prywatnym zebraniu, nie na koncercie.

Chór, pod kierunkiem p. Stankiewicza, harmonijnie odśpiewał kilka pieśni. Deklamowały pp.: Dulębianka i Pawłowska. Pierwsza fragment z „Wesela" Wyspiańskiego, druga „List Hanusi" Tetmajera. Panna Dulębianka mówiła bardzo artystycznie, z siłą i przejęciem, a interpretacja p. Pawłowskiej (gwarą podhalańską), prawie zawsze jednolita w charakterze, nosiła na sobie piętno szczerego liryzmu.

Udział w koncercie wybornego artysty teatru Nowości p. Rufina Morozowicza był zgoła niewłaściwy. Monologi, wypowiedziane zresztą z prawdziwym humorem urodzonego komika, treścią swoją odbijały nieko-

rzystnie od reszty programu, niemającego nic wspólnego z kabaretem lub operetką.

Akompanjował do śpiewu bardzo subtelnie p. Śledziński.

Wacław Krasiński

POLEMIKA.

Związki zawodowe i syndykalizm francuski.

O syndykaliźmie francuskim pisał niedawno w *Nowej Gazecie* p. Kronenblech-Kroński. Obecnie do tego samego tematu powraca w *Prawdzie* (Nr. 33) d-r Pinkus, omawiając pracę Paul Louis'a. W artykułach obydwóch tych panów tkwi pewien faktyczny błąd, który uważam za konieczne sprostować, tymbardziej, że w moim szkicu p. t. „Reformizm, tredunjonizm, kooperatyzm na Zachodzie", drukowanym w numerach 19, 20 i 21-ym *Prawdy*, pisałem o syndykaliźmie francuskim zupełnie co innego, niż pp. Kroński i Pinkus.

P. Kronenblech przeciwstawia rewolucyjny syndykalizm francuski ewolucyjnemu tredunjonizmowi angielskiemu. P. Pinkus jest ostrożniejszy, odróżnia w syndykaliźmie francuskim różne tendencje, lecz protestuje przeciwko wszelkim porównaniom pomiędzy francuskim, a angielskim ruchem zawodowym. Wywody p. Kronenblecha są zupełnie niezgodne z rzeczywistością, a wywody p. Pinkusa są tak mgliste, że czytelnik nie może z nich nabrać żadnego pojęcia ani o syndykaliźmie francuskim, ani o dziele Louis'a. Zanalizujemy to bliżej:

W Anglji *organizacja* związków zawodowych jest jedna jedyna: np. związek metalowców jest *jeden* i należą doń wszyscy robotnicy fabryk żelaza, bez względu na swoje przekonania polityczne lub religijne. Na tle tej jedynej organizacji zawodowej zarysowują się dwie *tendencje*, znane pod nazwą *starego* i *nowego* unjonizmu, które zwalczają się w kwestji równouprawnienia na gruncie zawodowym robotników niewykwalifikowanych.

We Francji organizacja związków zawodowych jest podwójna: 1) *żółta*, t. j. klerykalno-konserwatywna, oddająca pracownika w *opiekę* pracodawcy i propagująca t. zw. związki mieszane, t. j. złożone z robotników i fabrykantów tej samej gałęzi pracy, oraz 2) *czerwona*, t. j. radykalno-socjalistyczno-anarchistyczna, zgrupowana także w jednej *organizacji*, na tle której przebijają się różne *tendencje*; a więc np. robotnik, pracujący w fabryce powozów, może albo a) należeć do mieszanego związku żółtego, albo b) nie być wcale zorganizowanym zawodowo, albo c) należeć do federacji zwanej krótko „La Voiture" (Powóz). W ostatnim wypadku wolno mu mieć przekonania polityczne, lub religijne, jakie chce, wolno mu też mieć swoje zapatrywania na istotę i zadania związków zawodowych, byleby nie pragnął dopuszczenia do związku robotników osób postronnych, np. inteligientów, księży, pracodawców i t. p.

Należy odróżniać *organizację*, t. j. pewną konkretną instytucję od prądów, które nurtują w obrębie tej instytucji.

Otóż, o ile chodzi o *organizację* związków zawodowych nie można *przeciwstawiać* syndykalizmu francuskiego angielskiemu tredunjonizmowi, jak to czyni p. Kronenblech-Kroński, lecz należy *porównać* angielski tredunjonizm wogóle z francuskim syndykalizmem czerwonym; obydwie bowiem te organizacje cechuje *niezależność* od partji politycznych.[1]

Louis zupełnie słusznie podkreśla tę cechę francuskiego syndykalizmu czerwonego w swej pracy, a p. Pinkus całkiem mylnie podaje ją w wątpliwość. Mówiąc o stosunkach Zachodnich, trzeba ciągle pamiętać, że tam każda prawie jednostka należy jednocześnie do kilku wyspecjalizowanych zrzeszeń i że na tle każdego z tych zrzeszeń wytwarzają się różne kierunki.

Konkretna organizacja, która obejmuje cały czerwony syndykalizm francuski — to, jak wiadomo, perjodyczne kongresy, na których są reprezentowane związki zawodowe i giełdy pracy; oraz stale funkcjonujące biuro, zwane Ogólną Konfederacją Pracy, i złożone z kilku ludzi. Wszystkie te kongresy, niezależnie od całej różnicy zdań na sprawy zawodowe, zawsze akcentowały niezależność organizacji zawodowej od partji politycznych. „Kongres w Amiens (październik 1906) proklamował raz jeszcze neutralność", pisze Louis (str. 280).

A teraz, jeżeli od organizacji przejdziemy do tendencji, nurtujących *w łonie* czerwonego syndykalizmu francuskiego, to mamy ich dwie: *rewolucyjną* i *reformistyczną*. Ten podział p. Kroński przemilcza. P. Pinkus także go nie uznaje i np. odnajduje jakieś nieokreślone bliżej pokrewieństwo pomiędzy federacją „Książki", a związkami „żółtymi". Federacja „Książki" jest reprezentowana na wszystkich kongresach robotniczych i bierze udział w wyborach stałego biura kongresów, zwanego Ogólną Konfederacją Pracy. Na kongresie robotniczym w Bourges 1904 r. prezes federacji „Książki" Keufer zaznacza swoją bytność szeregiem mów i projektów.[1]) Federacja „Książki", narówni z wszystkimi innymi czerwonymi federacjami, należy do Ogólnej Konfederacji Pracy. *Organizacyjnie* nie ma ona więc nic wspólnego z żółtymi związkami, a wynalezienie jakiegoś idejowego pokrewieństwa pomiędzy „Książką" a „żółtymi" — byłoby tylko wówczas zrozumiałe, gdyby p. Pinkus stał na stanowisku syndykalistyczno-rewolucyjnym; jednak p. Pinkus nie jest np. zachwycony tym, co się stało w Vigneux. Wypadnie więc przypisać odkrycie kuzynostwa pomiędzy „Książką" a „żółtymi" — mimowolnej pomyłce pana P.

Wracając do podziału organizacji francuskiego syndykalizmu czerwonego na dwie tendencje, rewolucyjną i reformistyczną, — to, prosta rzecz, iż Paul Louis, sumienny historyk, nie mógł go pominąć. „Na kongresie w Bourges, pisze on, gdzie było reprezentowanych 45 federacji, otworzyła się długa dyskusja nad tendencjami: *reformiści i rewolucjoniści zderzyli się gwałtownie*" (str. 248 — P. Louis: Histoire du mouvement syndical en France. 1907). Lagardelle pisze o tym samym kongresie (o. c. str. 95): „Szerokie zasadnicze debaty nadały mu charakter wielkiego zdarzenia w świecie robotniczym. *Konflikt dwóch tendencji, reformistycznej i rewolucyjnej*, który ujawniał się z powodu różnych bieżących kwestji, *zapełniał wszystkie posiedzenia kongresu*". To samo powtórzyło się na kongresie robotniczym w Amiens 1906 r.

Po kongresach, każda z dwuch walczących tendencji, reformistyczna i rewolucyjna, uważała się za zwycięzcę. Tłumaczy się to *decentralizacją* francuskiego syndykalizmu. „Ogólna Konfederacja Pracy, pisze *Lagardelle* (o. c. str. 94), posiada dyktaturę czysto *moralną*. Nie miesza się ona ani w wewnętrzny zarząd związków zawodowych i ich federacji, ani w ich działalność. Zachowują one zupełną swobodę". Czyli inaczej powiedziawszy, zarówno rezolucje kongresów robotniczych, jak i proklamacje Ogólnej Konfederacji Pracy, oraz artykuły w organie konfederacji, mają znaczenie *moralne*. *Działalność* związków zawodowych zależy od nich samych, t. j. zorganizowani robotnicy każdego fachu postępują w swoich sprawach zawodowych, jak chcą. „Moralnej dyktaturze" Ogólnej Konfederacji Pracy ulegają zwykle najsłabsze i najciemniejsze związki: drwale z Yonne, kopacze ziemi z Vigneux i t. p.

Ogólna Konfederacja Pracy, czyli stałe biuro kongresów, składa się bowiem prawie zawsze z zdeklarowanych syndykalistów rewolucyjnych. Powodem nie jest bynajmniej przewaga tendencji rewolucyjnej, lecz *system głosowania* na kongresach. System ten polega na tem, że każdy związek i każda federacja, bez względu na ilość swoich członków ma jeden głos. W ten sposób jakiś związek drwali z zapadłego departamentu, liczący 200-tu członków, — ma jeden głos narówni z taką z federacją przemysłu włóknistego, liczącą kilkaset tysięcy członków. Ten system, wynikający z anarchistycznej zasady uprzywilejowania postępowej mniejszości, daje przewagę w wyborach od Ogólnej Konfederacji Pracy syndykalistom rewolucyjnym, lecz ponieważ O. K. P. ma dyktaturę jeno „moralną", syndykalistom reformistycznym nie wiele ona przeszkadza, tymbardziej, że posiadają własne pisma.

Tendencja, zwana syndykalizmem rewolucyjnym, niema równoważnika w Anglji aczkolwiek przypomina amerykańskich „rycerzy pracy"; — natomiast syndykalizm reformistyczny niczem się nie różni od angielskiego nowego unionizmu. Nie pojmuję, dlaczego p. Pinkus tak obawia się porównań.

Kończąc, muszę jeszcze zwrócić uwagę na zabawne qui pro quo. P. Pinkus zalicza Paul Louis'a do syndykalistów; rewolucyjnych, czy reformistycznych — tego oczywiście nie wiem, bo p. Pinkus nie zna tego podziału.

Otóż we Francji dotąd wszyscy sądzili, że Paul Louis jest nową wschodzącą gwiazdą ortodoksyjnego marksizmu, która niebawem zastąpi zbladłe już nieco wielkości: Lafargue'a i Guesde'a. Z łatwością domyśleć się tego można z książki Louis'a.

Na str. 181-ej Louis pisze „syndykaty służą praktycznie interesom najemników, tworząc zbiorowe umowy z pracodawcami", i dalej, na str. 183: „Ta praktyka zbiorowej umowy rozszerza się coraz bardziej. Ma ona podwójną wartość, gdyż z jednej strony wykazuje siłę syndykatu, z drugiej zapewnia przyrost członków". Wiadomo, że tych słów nie mógł napisać syndykalista rewolucyjny, gdyż ten pieniłby się z wściekłości na sam dźwięk wyrazów „contrat collectif"; a zwyczaj umów zbiorowych nie omieszkałby opisać, jako przejaw ostatecznego upadku upodlenia, burżujowatości (emborgeoisement) proletarjatu.

Opisując kongresy robotnicze lub działalność poszczególnych syndykatów, Louis jak typowy ortodoks, nigdy nie wypowiada swojego zdania: opisuje jeno; zawsze pragnie dać wrażenie, że rezultat nie jest wynikiem walki dwuch tendencji, o których mówiliśmy, lecz że wypływa sam, z jakiejś mistycznej woli ogółu robotniczego. Jest zbyt sumienny, aby zupełnie przemilczeć tę walkę, lecz stara się ją zatrzeć. Pp. Kroński i Pinkus idą jeszcze dalej, bo nie wspominają o niej ani słówkiem. Syndykalistą reformistycznym Louis też nie jest. Widać to, choćby z tonu, jakim mówi o wyższej radzie pracy; o radach pracy i o izbach rozjemczych (str. 277). Widać gdy z emfazą oświadcza, że „partja socjalistyczna we Francji solennie odrzuciła i potępiła wszelkie branie udziału we władzy, wszelkie związki z demokracją (str. 280)". Widać wreszcie z tego proroczego tonu, jakim gło-

[1]) Gjuber Lagardelle — „Rewolucjonnyj sindikalizm"—S.-Pb. 1906. L., kierownik francuskiego syndykalizmu rewolucyjnego, ożeniony z Rosjanką, która tłumaczy jego prace. Powyższe dzieło ukazało się jednocześnie po francusku i rosyjsku. O roli Keufer'a na kongresie w Bourges — str. 104 i nast.

si, że wybiła godzina, w której federacje syndykatów powinny odstąpić od zasady neutralności (str. 280)". Toć przecież wiadomo, że ortodoksi francuscy robili nadludzkie wysiłki, aby utrzymać organizacje zawodowe w zależności od siebie. Nie udało im się to. Zasada neutralności syndykatów, jest wielkim zwycięstwem połączonych syndykalistów reformistycznych i rewolucyjnych (na gruncie politycznym przeważnie radykałów i anarchistów) nad ortodoksami. Z tego jednego już proroctwa, nic więcej o Louis'ie nie wiedząc, socjolog powinien poznać, z kim ma do czynienia, — a cała treść ostatnich rozdziałów, gdzie się ciągle mówi o ścisłej łączności partji i organizacji zawodowej nie pozostawia żadnych wątpliwości. Znamy tezę reformistyczną, tak wspaniale przedstawioną przez Fournier'a, tezę wielości wyspecjalizowanych i autonomicznych zrzeszeń, do których jednostka należy równocześnie; znamy jego epokową teorję *podziału pracy* [2]) pomiędzy zrzeszeniami, teorję, która na szczęście nie jest mrzonką, lecz stawającą się rzeczywistością. Paul Louis pragnie ten proces powstrzymać, co charakteryzuje zarówno jego poglądy polityczne, jak i syndykalne.

Jerzy Kurnatowski.

Odpowiedź.

Zniechęcią chwytam za pióro, by „zarzuty", pod moim wypowiedziane adresem[1]) odeprzeć; polemika bowiem, polegająca na prostowaniu mylnie powtarzanych albo zrozumianych zdań własnych, niczego czytelników nie nauczy. Artykuł p. Kurnatowskiego „Związki zawodowe i syndykalizm francuski" nastręcza mi następujące sprostowania.

1) Zdaniem pana K. „całkiem mylnie podaję w wątpliwość" niezależność czerwonych syndykatów francuskich od partji; ja tymczasem podkreśliłem różnicę, jaka zachodzi między *formalnie* proklamowaną niezależnością a stosunkami *faktycznymi*. A to chyba co innego!

2) Zabawnym poprostu qui pro quo jest twierdzenie p. K., jakobym nie odróżniał reformizmu od syndykalizmu rewolucyjnego i „odnajdywał jakieś nieokreślone bliżej pokrewieństwo pomiędzy federacją „Książki", a „związkami żółtymi". Dość zajrzeć do mego referatu (Nr. 33, str. 404, szpalta II), by się przekonać, iż ja miałem w owym miejscu na myśli wykazanie na przykładzie różnych tych organizacji, „które ani nominalnie, ani faktycznie polityki kolektywistycznej programem swym nie obejmują", iż Louis mylnie definjuje syndykat *w ogólności*, jako organizację, zmierzającą do przełamania ram ustroju panującego „przez przygotowanie elementów... odmiennego ustroju ekonomicznego". Bo zbyt ciasne to określenie Louis'a nic obejmuje całego szeregu duchem zupełnie między sobą odmiennych organizacji. Skok logiczny pana K. wynika z fałszywie postawionej alternatywy; wszak np. i w naszym życiu politycznym mamy cały szereg grup (postępowcy, narodowcy, realiści i t. d.), stojących na gruncie ustroju panującego, a mimo to nie... „skuzynowanych".

3) Pan K. przypisuje mi dalej ignorowanie podziału związkowców francuskich na reformistycznych i rewolucyjnych, o którym przecie „sumienny historyk" Paul Louis wspomina. Oczywiście nie doczytał pan K. mego referatu do końca; byłby bowiem na str. 405 zauważył obszerny ustęp krytyczny, w którym zarzucam Louis'owi pewne bagatelizowanie „przepaści idejowej", jaka de facto te dwa obozy dzieli. Zaznaczyłem wyżej, podobnie jak już obszerniej o tym mówiłem w swym referacie, że definicja Louis'a jest niewłaściwa, gdyż wydająca *pars pro toto*.

Na usprawiedliwienie jednak Louis'a dodać muszę, że on sam przyznaje, iż słowo „syndicalisme" oznacza dużo rzeczy: bądź całość ruchu korporacyjnego francuskiego, bądź tendencję, chwilowo w nim dominującą" („tantôt l'ensemble du mouvement corporatif français, et tantôt la tendance qui y prédomine présentement; *Paul Louis*, le mouvement syndical en France, p. 269). Nie mam atoli nic na usprawiedliwienie pana Kurnatowskiego, który absolutnie o tych 2-ch znaczeniach „syndykalizmu" nie wspomina, lecz chce wmówić w czytelnika, iż ma tu do powiedzenia zupełnie „co innego", niż niżej podpisany. W istocie jednak posługuje się on tylko, może nieświadomie, tym dwuznacznym terminem, gdy ja dla uniknięcia tej dwuznaczności wolę mówić o ruchu zawodowym, związkowym, syndykalnym. Przypomnę tylko czytelnikowi całą literaturę, „syndykalizmowi" w tym ciaśniejszym znaczeniu tego wyrazu poświęconą. Dla przykładu wymienię choćby studjum *Enrico Leone* o „Syndykaliźmie" (tłum. z włoskiego na język rosyjski wyszło w r. 1901 w Moskwie), gdzie na str. 39 autor, nieźle chyba z tym ruchem obeznany, odpowiada na pytanie: „Co to jest syndykalizm"? że jest to „ruch dążący do wzniesienia gmachu iście roboczego socjalizmu".

Nie pierwszy to raz zdarza się, że wychodząc z różnicy terminologicznej, ogólnie zresztą znanej, wytacza się ciężką artylerję polemiczną; zamiast poprostu powiedzieć, że też same rzeczy różnie się nazywają, wmawia się w cierpliwego czytelnika, iż się odkryło „błędy" faktyczne.

4) O to, czy Louis jest „ortodoksem", czy nie, nie myślę z panem K. polemizować; za długo by przecie trwało, nim byśmy się z nim na jedną jakąś definicję tego pojęcia zgodzili. Na szczęście jednak jest to zupełnie zbyteczne; w referacie moim mowa wszak tylko o tym, że Paul Louis nietylko akcję bezpośrednią—to jądro syndykalizmu (w znaczeniu ciaśniejszym) — pochwala, lecz ją nawet apoteozuje. A że między syndykalizmem rewolucyjnym a ową tak przez pana K. gnębioną „ortodoksją" więcej jest pokrewieństwa, niż on sam przypuszcza mógłby pan K. z wyżej wymienionej książki Leona, która jest jedną namiętną filipiką przeciw reformistom i rewizjonistom niemieckim, z łatwością wywnioskować.

5) Żałuję, że referat mój panu K. mglistym się wydał i że mu nie dał dokładnych wiadomości o syndykaliźmie francuskim ani nawet o książce Louis'a. Referaty moje nie miały bynajmniej wykładu istoty ruchu związkowego różnych krajów na celu; nawet lektury omawianych książek nikomu zastąpić nie miały, lecz raczej do tej lektury zachęcić i ją nieco pogłębić.

6) Dziwi się wreszcie pan K. czemu tak *porównań* się obawiam, skoro on sam porównywał syndykalizm z unjonizmem angielskim, i mówił przytym „zupełnie co innego..." Naprawdę to nie porównania, lecz *uogólnienia* pospieszne u Louis'a strofowałem. Metodę zaś porównawczą wręcz za niezbędną uważam, oczywiście pod warunkiem uprzedniego gruntownego i źródłowego studjowania zjawisk porównywanych. Dla tego, dla kogo jak dla pana Kurnatowskiego w jego artykule powyższym, „organizacja związków zawodowych angielskich jest jedna jedyna" temu gorąco zalecam przestudjowanie prac małż. S. B. Webb, G. Howell'a, G. F. Assindr'a, E. A. Pratt'a, A. H. Ruegg'a i H. Cowen'a, zawierających materjał nieco obfitszy, a w każdym razie autentyczniejszy, niż książka Paula de Rousiers! Kto dalej, jak p. K. w tym samym artykule, twierdzi, iż „we Francji organizacja związków zawodowych jest podwójna: 1) żółta... oraz 2) czerwona...", tego odsyłam do takiej choćby popularnej pracy, jaką jest *L. de Seilhac'a* Syndicats ouvriers (Paryż, A. Colin, 1902): rozdział zatytułowany „le syndicat ouvrier tel qu'il existe aujourd'hui" (p. 121) przekonałby pana K., iż i ruch związkowy francuski wytworzył nieco więcej typów organizacji związkowej.

Tak ugruntowanych zestawień w istocie się obawiam, podobnie jak wogóle wszelkich z drugiej ręki branych faktów i cyfr. Wobec tego mogę ten szereg sprostowań zakończyć tylko szczerą radą pod adresem pana K. medice cura te ipsum!

D-r N. Pinkus.

D-r Ludwik Wahrmund: **„Katolicki światopogląd i Wolna Wiedza"**. Z niemieckiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

D-r Wahrmund—dotąd nieznany profesor prawa kościelnego — wywołał strajki uniwersyteckie z powodu wyżej wzmiankowanej broszury, gdyż, jak wiemy, nuncjusz papieski wymagał wydalenia Wahrmunda z Uniwersytetu.

Czy Wahrmund istotnie uderzył w Kościół z siłą pióra ks. Loisy, lub jezuity Tyrella? Nie! Ale praca Wahrmunda ma zaletę niezrównanego *przemyślenia i odczucia* sprzeczności pomiędzy katolickim światopoglądem i wolną wiedzą. Nadto autor krytykuje rzeczowo Syllabus Piusa X i jego niefortunną Encyklikę „Pascendi Domini Gregis", wykazując z wielką śmiałością, że już po takich wyrazach ubóstwa naukowego Piusa X wiedza z wiarą i religijnością iść zgodnie *nie mogą*, szczególniej uniwersytety austryjackie które wychodząc z założenia — wiary w Objawienie, nie mogą tolerować charakteru badawczych metodyk innych fakultetów.

Oto jakie poglądy według Wahrmunda wygłaszają katolickie Związki uniwersyteckie:

„W uniwersytetach znajdują się po większej części bezbożni, protestanccy, żydowscy lub wreszcie pod względem religijnym obojętni profesorowie; w w uniwersytetach— to zaprzecza się w imię nauki Boga, wieczności, aktu stworzenia, Chrystusa, nieśmiertelności; w uniwersytatach tracą słuchacze bardzo prędko chrześcijańską wiarę i występują potem w życiu jako profesorowie, urzędnicy, sędziowie; w uniwersytetach znajdują się... dążenia wolnomyślicielskie, zmierzające do oddzielenia kościoła od państwa, do rozwodów, palenia ciał itd." (st. 4).

Te „tezy" związkowców katolickich Wahrmund w wymienionej broszurze zbija bardzo zwięźle. Autor nie podaje własnych teorji, lecz z niezrównaną zręcznością zestawia cudze, streszcza je bardzo popularnie i wykazuje jak na dłoni, że kościół niema nic wspólnego z oświatą: „Kościół, powiada, najrzetelniejsze usiłowania w kierunku oświaty odpiera *wywijaniem* pałki" (str. 37) (u nas Jan Jeleński mówi: za Maryję kijem bija! p. a.) „Stare kościoły już nie zadawalają, zatykają uszy na wołanie o reformę". (Str. 47). „Papiestwo XIX w., ulegając polityce kościelnej odrodzonego zakonu Jezuitów, łamało bezwzględnie wszelkie usiłowania odmłodzenia katolicyzmu". Już Grzegorz XVI w Encyklice „Mirari" i Pius IX w Syllabusie, również jak i Leon XIII w Encyklice „Aeterni Patris", — „Immortale Dei" i „Officiorum

---

[2]) Porównaj moją „Etykę Społeczną" — str. 541 i nast. „Myśli Niepodległej" z r. b.

[1]) Odpowiadam p. Kurnatowskiemu na te tylko jego uwagi, które mu moja praca nastręczyła; p. Krońskiego, którego p. Kurn. niewiadomo z jakiego tytułu ze mną sprzęga, bronić nie mam ani chęci, ani też prawa. Korzystam z okazji, by Szan. Redakcji za uprzejme otworzenie mi łamów dla tej polemiki podziękować.

ac munerum" (1879!) — potępili: postęp, liberalizm, nowoczesną cywilizację, wolność nauczania i sumienia, wolność prasy i słowa. W ten sposób Pius X po rzekomo „światłych" rządach dyplomaty Leona — przepowiedzianego jako *lumen in coelo*,—krzewi ideały *tenebrarum* dla swoich potulnych owieczek, czyli — że pragnie jak Jozue zatrzymać słońce, wyrazem swej woli i władzy, rzekomo od Piotra pochodzącej.

„Zapomocą ostatniej akcji przeciwko modernistom — kończy swe uwagi Wahrmund — papiestwo zerwało ostatnie łączniki pomiędzy własnym państwem, a całym światem kulturalnym; w ten sposób został zadany duchowemu wpływowi katolicyzmu cios śmiertelny. Zanik kościoła katolickiego dla ludzi dalej patrzących żadnej nie ulega wątpliwości"... (str. 54). Ostatnia Encyklika „Pascendi"—prawdziwe orędzie inkwizycyjne XVI w. — „nawróciło kościół na drogę *węszenia heretyków i denuncjacji* na wielką skalę (str. 56)".

Tę ostatnią uwagę akcentujemy jako wielce charakterystyczną... i dla stosunków naszych, o czym czytelnicy *Prawdy* przekonali się z dokumentów, drukowanych w naszym piśmie.

A. Miller.

Z PRASY.

Z ROSJI.

Opinję rosyjską nie przestają zajmować i niepokoić wieczne tematy, stała bolączka Rosji: nieudolność dyplomacji rosyjskiej w stosunkach międzynarodowych i wieczna walka społeczeństwa z rządem we wszystkich przejawach życia społecznego.

Od czasu gdy został ministrem oświaty p. Szwarc i zapanowała kompletna harmonja w gabinecie p. Stołypina, reakcja poszła jednolitym łożyskiem, które stale zaczyna się pogłębiać i rozszerzać, zabierając coraz to nowe wolne jeszcze pola a raczej strzępy swobód konstytucyjnych.

...Przyszła trzecia Duma a z nią niebywała reakcja, nadzwyczajne stany, sądy polowe, wojenne i t. d. i t. d. — całe życie wewnętrzne narazie zostało jakby skute i zniwelowane do zera. Pozostał jeden jedyny zakątek swobodny od ucisku administracyjnego (względnie) — to wyższe uczelnie ze swą prowizoryczną autonomją. Związek „narodu rosyjską", który rzeczywiście odegrał poważną rolę w reakcyjnych dążeniach rządu, dając jakby moralną sankcję najsurowszym zarządzeniom administracyjnych organów, nie mógł ścierpieć tej wolności wyższych uczelni i postarał się o usunięcie ministra Kaufmana, by rozpocząć przy boku sprzyjającego dążeniom związku nowego ministra planową walkę z ogniskami oświaty.

Dziś ta walka doszła do największego swego napięcia i przybrała formy brutalnych rozpraw między młodzieżą uniwersytecką. Oddział związku narodu rosyjskiego naprzykład w uniwersytecie petersburskim jest na ogólną liczbę studentów stosunkowo bardzo nieliczny, ale za to wyszkolony w szermierce nietylko na słowa i gotów na wszystko, by tylko dać możność głoszenia opinji reakcyjnej, że młodzież „rosyjska" pragnie nauki — i żadnej autonomji uniwersyteckiej nie żąda, a jeżeli są jakie zaburzenia, to czynią żydziaki i wszelcy nieprawosławni „inorodcy".

Może to zbieg taki dziwny okoliczności — może, ale prowodyrem oddziału studenckiego związku narodu rosyjskiego jest student Szenken. Dzielny ten młodzieniec tak żądny jest wiedzy,że zabarykadował się wraz ze współwyznawcami i profesorem w jednej z aul uniwersyteckich, by tylko móc słuchać wykładu... A gdy i to nie pomogło, by na wiecu nie dopuścić do zgodnej uchwały, Związek narodu ros. doprowadził do bójki.

Widzimy tu tę samą czarną nić, która przechodzi przez całą reakcję, ta sama ręka działa tu, co przyczyniła się do upadku Kaufmana i dlatego sprawa uniwersytecka, nie mając tego charakteru politycznego, co dawniej, staje się coraz groźniejszą, coraz więcej komplikującą się. Rząd idzie wciąż za wskazaniami związkowców przynajmniej w dziedzinie oświaty, a z drugiej strony zarówno młodzież, jak Rady Uniwersyteckie stoją godnie w obronie swych praw.

Żydziaki robią rewolucję — „keny i bergi" prowadzą naród rosyjski do szczęścia...

Rację miał Suworow, gdy prosił, by go zrobić Niemcem.

Feliks Honowski.

Głośna sprawa pogwałcenia wolności sumienia rodziców Żydów wolnomyślnych, których zmuszono do poddania trupa dziecka barbarzyńskiemu aktowi obrzezania, znalazła między innymi rzeczowe omówienie w organie Żydów polskich *Izraelicie*.

Autor p. Leon Lichtenbaum, zarazem prawnik i judaista, stawia rzecz na gruncie ściśle prawnym, i z tego właśnie stanowiska: zarówno przepisów mojżeszowych, jak kodeksu, obowiązującego w kraju naszym, orzeka stanowczą bezzasadność gwałtu, jakiego się dopuszczono.

Dowiódłszy, że zaniechanie obrzezania nie pociąga za sobą nawet ze stanowiska czysto religijnego wyłączenia danego osobnika z łona żydowstwa — w sensie niedozwolenia grzebania go na cmentarzu żydowskim,—że nadto Kodeks Cywilny Król. Polsk. mówi tolerancyjnie o obrzezaniu jako obrzędzie religijnym i pozostawia go uznaniu rodziców, — formułuje autor energiczny protest przeciwko zachowaniu się w danym wypadku Zarządu Gminy Warszawskiej.

„Zarząd ten — powiada p. L. — przez sam fakt pociągania do opłaty składki gminnej każdego żyda bez względu na jego zachowywanie lub niezachowywanie obrzędów religijnych, obowiązany jest zapewnić wszystkim członkom gminy korzystanie z usług instytucji gminnych, a więc przedewszystkim z cmentarza, jako nieuniknionego przytułku ostatecznego".

Przytaczamy głos powyższy, jako stanowiący miarodajną opinję rzeczoznawcy, doniosłą, tyleż ze stanowiska idejowego, ile bezpośrednio praktycznego. Zainteresowanych bliżej tą sprawą odsyłamy do samego, obszernie ją omawiającego artykułu w Nr. 41 *Izreality*.

Memorabilja polityczne.

Warszawa, 20 października.

Projekt konferencji europejskiej doprowadzony został do ułożenia w Londynie programu w ścisłym porozumieniu Triple-entente'u. Jest to właściwie robota jednostronna i jako taka zaraz na wstępie spotyka się z zarzutami ze strony Turcji i Anglji. Niemcy wogóle zajmują stanowisko wątpliwe, z którego łatwo w każdej chwili przejść można do jawnej opozycji.

Żadne z mocarstw nie objawia silnej woli popierania konferencji, żadne nie czuje się dostatecznie przygotowanym do podawania jej decyzji specjalnych swych pretensji do dziedzictwa tureckiego. Tylko p. Izwolskij dobijał się zezwolenia gabinetów na rewizję traktatu berlińskiego. Lecz dziś przestało już być tajemnicą, że dyplomatyczna jego misja, doznała zupełnego niepowodzenia. Poza Francją, która dla swego sprzymierzeńca, gotowa byłaby zrobić bardzo wiele, inne państwa nie okazują zbytniej skwapliwości do popierania projektów nie dających pogodzić się wyraźnie z interesami ogólnymi Europy i z zachowaniem całości Turcji. Nawet Anglja, okazująca tak żywą chęć pozyskania Rosji dla wyższych planów swojej polityki, mogła zrobić tylko tyle, że kwestję Dardanellów pozostawiła do załatwienia przez oddzielne rokowania Rosji z Turcją. Kto pamięta charakter i sposób pertraktacji bezpośrednich z rządem tureckim w sprawach dotyczących zrzeczenia się przez ten rząd jakichś praw zwierzchniczych, ten rozumie doskonale, że wskazanie takiej drogi Rosji dla urzeczywistnienia swych pragnień, jest poprostu odczepieniem się od interesu i nie rokuje dobrego rezultatu.

Co więcej, sam pomysł konferencji, zanim zdołał przybrać realniejsze kształty, podawany już jest w wątpliwość, i to nietylko przez Turcję. Inne państwa zdradzają znaczne ochłodzenie dla projektu.

W Anglji większą wagę zaczynają przykładać do starania się o utrzymanie w Turcji wpływu, jaki tam pozyskano od początku przewrotu dokonanego przez stronnictwo Młodej Turcji. *Daily Telegraph* w godnej uwagi korespondencji z Konstantynopola wykazuje, że pod kierunkiem ambasadora niemieckiego, bar. Marschall'a, który uchodzi za znakomitość dyplomatyczną, Niemcy nie przestają ani chwili pracować nad zagnieżdżeniem się w Turcji i nie zrażają się objawami niechęci ze strony ludności. Przytoczony dziennik radzi zatym rządowi brytańskiemu, aby czemprędzej wybrał jedną z dwuch dróg dla utrzymania swego wpływu w Turcji. Anglja powinna albo pożyczyć nowemu rządowi tureckiemu 10 do 15 miljonów funtów sterlingów, albo zapowiedzieć bezzwłocznie w Sofji, że gdyby Bułgarja ośmieliła się zaniepokoić Turcję z bronią w ręku, flota angielska zbombarduje natychmiast Burgas i Warnę. Dlatego suggestjonowane są tak silne środki, że położenie wymaga podobno prędkiego i stanowczego działania.

* *

Wiadomości ostatnie z półwyspu Bałkańskiego brzmią dość pokojowo.

St. Pyrowicz.

KRONIKA.

— Na Politechnikę Warszawską zapisało się 1,133 słuchaczy, z czego prawosławnych 438, żydów 518 oraz katolików i luteranów 120.

—Rada ministrów odmówiła sankcji postanowieniom rad profesorskich zamykania uniwersytetów, w których wynikły nieporządki, uznając, że na tym ucierpieliby studenci, chcący słuchać wykładów; wypowiedziała się natomiast za stosowaniem ostrzejszych środków dyscyplinarnych przeciw opornym studentom, a między innymi za wykluczaniem ich z uniwersytetów, co leży w atrybucjach rad profesorskich.

— W Tokjo zmarł marszałek Nodzu, pamiętny [redacted] wojny rosyjsko japońskiej.

— Do Jokohamy przybyło 16 statków floty amerykańskiej w odwiedziny na tydzień. Eskadra japońska zgotowała Amerykanom uroczyste przyjęcie.

— W Pradze czeskiej wybuchły zamieszki [redacted] antypatji czesko-niemieckich.

— W Turcji i Bulgarji powołano rezerwistów pod [redacted].

Z dniem 1 listopada zacznie wychodzić nanowo, zawieszony na czas stanu wojennego, tygodnik *Wolne Słowo*, redagowany przez L. Belmonta.

Do numeru bieżącego dodajemy prospekt „SFINKSA".

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy"

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracja Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Wincenty Biskupski.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.